SPORT WODNY



DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM
Wioślarstwa, Żeglarstwa, Pływactwa,
Turystyki wodnej i Jachtingu motorowego

Rok 10

Nr. 21

DRUGI ZESZYT
LISTOPADOWY

CENA EGZEMPLARZA 1.20.

WARSZAWA
1934 ROK

Książki nadesłane

Odżywianie w obozach i na wycieczkach.
Dr. A. Terajewicza — Główna Księgarnia Wojskowa. Warszawa, 1934.
Cena zł. 2.60.

Na wszelkiego typu wycieczkach i obozach najniewdzięczniejszem zajęciem jest kuchnia. Nietylko dla tego, że nigdy nie wiadomo co gotować, że smoli i brudzi, ale również i dlatego, że obsługiwana najczęściej nieumiejętnie, mści się na nieszczęśliwych kucharzach, dając wzamian za ich ciężką pracę złośliwe uwagi i niezadowolenie również nieszczęśliwych konsumentów.

Dr. Terajewicz w swej pracy, p. t. „Odżywiania w obozach i na wycieczkach" (nakład Głównej Księgarni Wojskowej w Warszawie) ujmuje bardzo wyczerpująco zagadnienie kuchni wycieczkowej, gdyż podaje nie tylko jak gotować, lecz i co i dlaczego gotować. We wstępnym rozdziale omówiona jest przemiana materji, główne składniki odżywcze i własność pokarmów. Następny rozdział omawia produkty, które należy ze sobą zabierać i których należy unikać, ich wyposażenie w kalorje i witaminy, zestaw ilościowy i t. p. Trzeci rozdział poświęcony jest kuchni, a więc jej urządzeniu zarówno na lądzie, jak i na jachcie, naczyniom oraz pracy w kuchni. Ostatnie wreszcie rozdziały poświęcone są jadłospisowi i sporządzaniu pokarmów, czyli innemi słowy stanowią małą książkę kucharską dla każdego wycieczkowicza lub obozu. W zakończeniu znajduje się mały słowniczek dla naszych żeglarzy po Bałtyku, zawierający w języku polskim, niemieckim, duńskim i szwedzkim nazwy najpotrzebniejszych produktów.

W dobie rozwoju obozów i wypraw jachtowych książeczka Dr. Terajewicza posiada duże znaczenie. Zbyt mało przykładano do tej pory uwagi odżywianiu, nacisk kładąc jedynie na świeże powietrze i ćwiczenie fizyczne. Tymczasem nie trzeba zapominać, że dwa te warunki nie odpowiadają pełni racjonalnego wychowania fizycznego, że i odżywianie stanowi nie mniejszej wagi czynnik. Odżywianie, dając potrzebną ilość kaloryj i witamin, a przytem smaczne musi być, tak samo ważne i tak samo racjonalnie prowadzone, jak program ćwiczeń fizycznych. I z tego względu książeczka Dr. Terajewicza znaleźć się musi wśród jaknajszerszych warstw sportowców, kierowników obozów i żeglarzy.

Kajakiem do minaretów — Dr. W. Korabiewicz. Warszawa — Główna Księgarnia Wojskowa.
Cena 4.80 zł.

Kajakowcy nasi nie poprzestają już na włóczędze po naszych rzekach i jeziorach, lecz szukając szerszych przestworzy i szlaków wodnych przebijają się hen do morza Bałtyckiego i Czarnego. Ponadto mamy coraz więcej fanatycznych wprost zwolenników kajaka, dla których sport ten jest już nietylko przyjemną rozrywką, lecz wprost potrzebą życia. Są to zawołani włóczędzy, miłujący nadewszystko swobodę, słońce i wodę i z trudnością dający się zatrzymać wśród murów miast. Kajak — w dodatku jeszcze żaglowy dający możność poruszania się bez większego zmęczenia po dużych przestrzeniach jest jakby stworzony dla włóczęgi. Do liczby takich włóczęgów kajakowych w wielkim stylu należy autor książki wydanej przez Główną Księgarnię Wojskową, p. t. „Kajakiem do minaretów" dr. Wacław Korabiewicz, były lekarz Daru Pomorza. Traktuje ona o dwóch kolejnych wyprawach, które razem złożyły się na przebycie szlaku Polska - Ateny. Pierwszą wyprawę autor rozpoczął z Wilna do Nowego Targu koleją, stąd kajakiem przez rzekę Orawę, Wag, Dunaj do morza Czarnego, morzem zaś do Stambułu. Wycieczka wyruszyła w sześć osób, jednak tylko z jedną z nich dotarł autor do Konstantynopola. Wrócili następnie koleją, pozostawiając w Stambule kajak. W drugiej wyprawie autorowi towarzyszyła jedna z koleżanek z lat uniwersyteckich przyczem z Wilna do Konstantynopola jechano koleją, stamtąd zaś do Aten kajakiem. Obie wyprawy obfitowały w mnóstwo przeżyć, wrażeń i przygód. Bywało i tak, że groziła im śmierć i tak — że cierpieli głód, lecz bywały i sytuacje komiczne, wesołe, lub wprost zachwycające. Dr. Korabiewicz jest nietylko kajakarzem i żeglarzem, lecz również dobrym poetą i pisarzem o bujnym temperamencie, czułej wrażliwości i dużem poczuciu humoru. Dlatego stać go i na sentyment i na ciętą ironję. W tok opowiadania o podróży i przygodach wplata on mnóstwo opisów krajoznawczych, spostrzeżeń i anegdot, sypie spostrzeżeniami złośliwemi między spostrzeżeniami fachowca—żeglarza, umie oddać napięcie tragicznej sytuacji by potem roześmiać się z przykrej przygody, gdy już przeszła. Trzeba przyznać, że książka Dr. Korabiewicza jest niepośledniem zjawiskiem w dziedzinie pamiętników tak, jak niepowszednim typem jest sam autor-włóczęga. „Kajakiem do minaretów" pisane było zresztą już „na wsiadanem". Czekał już nowy kajak, sporządzony na podstawie wszelkich doświadczeń autora i dostosowany do podróży dalekomorskich.

W chwili gdy książka omawiana ukazuje się na półkach księgarskich, bielą się już nowe żagle kajaka dr. Korabiewicza na morzu Śródziemnem popychając łódź na wschód. Nowy szlak włóczęgostwa rozpoczął autor, tym razem szlak gigantyczny Kołomyja-Szanghaj — wespół z żoną, projektując przebycie go w ciągu dwóch lat. Czy mu się uda? Szlak prowadzi wzdłuż wybrzeży pustynnych lub zamieszkałych przez zdziczałe plemiona, poza tem nieprzewidziane sztormy przy przeskokach zatok i międzywyspowych o rozpiętości 40 kilometrów, groźba braku wody i żywności — jednem słowem to wszystko, co dzielna para żeglarzy pokonać musi, budzi niepokój życzliwych. A tych nie brak w kraju dla dzielnego pioniera naszego żeglarstwa sportowego i dlatego życzymy mu z całego serca, dobrego wiatru".

ROK 10 WARSZAWA, LISTOPAD 1934 R. Nr. 21

Sport Wodny

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM WIOŚLARSTWA ŻEGLARSTWA PŁYWACTWA TURYSTYKI WODNEJ JACHTINGU MOTOROWEGO

Ex oriente lux...

Zdecydowane stanowisko, zajęte przez Zarząd Polskiego Związku Związków Sportowych, i uchwały Zjazdu Wizytatorów Wychowania Fizycznego w szkołach, o których pisaliśmy w ostatnim numerze Sportu Wodnego zaczynają przynosić owoce. W jednem z pism codziennych wyczytaliśmy:

Piękna inicjatywa. Sprawa sportu w szkołach stoi obecnie na martwym punkcie. Wiele się mówi i wiele się pisze o konieczności usportowienia młodzieży. Wszyscy jednogłośnie stwierdzają potrzebę zasadniczych reform. Brak jednak ludzi, którzyby rozpoczęli działalność od czynu, stoi na przeszkodzie do naprawy zła.

Obecnie mamy do zanotowania pierwsze przebłyski inicjatywy. Pochodzą one z kuratorjum wileńskiego szczęśliwym inicjatorem jest inspektor w. f. przy kuratorjum wileńskiem prof. Czyżewski.

Według zatwierdzonego już przez władze szkolne planu w Wilnie w dniach 5 i 6 sztycznia 1935 r. odbędą się pierwsze ogólnoszkolne mistrzostwa narciarskie Polski. Do zawodów zgłoszą się wszystkie Kuratorja Szkolne. Każde z nich reprezentowane będzie przez trzech czołowych uczniów-narciarzy, którzy walczyć będą o tytuł narciarskiego mistrza Polski szkół średnich.

Poza tem prof. Czyżewski projektuje urządzenie, w pierwszych dniach stycznia, pierwszych mistrzostw Polski w hokeju i łyżwiarstwie drużyn szkolnych z całego kraju.

Miejmy nadzieję, że piękna inicjatywa pobudzi do czynu innych, którzy mają możność rzucenia nowych myśli i zrealizowania ich dla dobra sportowców-uczniów.

Brawo zacny i dzielny p. Profesorze! Witamy w Panu niezmiernie cennego sprzymierzeńca w naszej walce o uzdrowienie ducha naszej młodzieży zapomocą sportu. Widać, że zrozumieliśmy się doskonale i nie potrzebujemy się wzajemnie przekonywać o zbawienności Pańskiej inicjatywy. Wyczytał Pan prawdopodobnie razem ze mną kartki z bardzo niedawnej podróży jednego z naszych wybitniejszych literatów do Anglji i jego zachwyty nad cudownem wyrobieniem i dyscypliną angielskiego społeczeństwa, które znakomity nasz podróżnik zupełnie słusznie przypisuje w głównej mierze wychowaniu fizycznemu młodzieży angielskiej w szkołach i częstym zawodom międzyszkolnym w różnych sportach, w których młodzież, oprócz hartowania ciała i charakteru uczy się zasad „fair play", szacunku dla przeciwnika i zaprawia się do walki nietylko z przeciwnikiem, ale z własnemi ułomnościami.

Jestem przekonany, że z drogi na którą Pan wstąpił nie da się Pan sprowadzić argumentami o odciąganiu młodzieży przez ćwiczenia sportowe od nauki, gdyż jako wychowawca, z własnego doświadczenia wie Pan doskonale, że wypoczęty w czasie ćwiczenia fizycznego umysł tem łatwiej przyswoi sobie wiadomości naukowe, nie pozwoli też się Pan zastraszyć twierdzeniem, że sporty brutalizują młodzież, na dowód czego będą Panu mówili, że podczas tych nielicznych spotkań międzyszkolnych czy to w siatkówce, czy piłce nożnej, czy koszykówce zachodziły bardzo niemiłe objawy zdziczenia młodzieży na boisku. Wiemy obydwaj, że i ten argument nie wytrzyma bliższej krytyki, gdyż tak, jak wygłodzony człowiek będzie jadł łapczywie i nieestetycznie, a normalnie odżywiany zachowuje się przy jedzeniu ładnie i kulturalnie, tak i bujny temperament młodzieży w zbyt rzadkich spotkaniach wyładowuje się w sposób niewłaściwy, a przy częstszych zawodach utemperuje się do odpowiedniego poziomu, zresztą winą ekscesów najczęściej jest nieodpowiednie sędziowanie w tych sportach, gdzie wygrana często bardziej zależy od decyzji sędziego, niż od umiejętności zawodników, czego nigdy nie ma tam, gdzie decyduje stopper i miara, jak przy lekkiej atletyce, regatach wioślarskich, zawodach narciarskich łyżwiarskich i t. p. Powie Pan napewno, a wszyscy logicznie i rozumnie myślący ludzie Panu przytakną, że jeżeli dzisiaj najwyższe Władze szkolne mają tęgie kłopoty, z powstawaniem tajnych związków, z wykoszlawieniem idei Legjonu Młodych i razem z nim idącej Straży Przedniej, względnie rozpowszechnianie się O. N. R. wśród naszej młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej, to w znacznej mierze przyczyną tego jest zaniedbanie wychowania fizycznego, i wprzęganie podatnej, na skutek tego zaniedbania i łatwo entuzjazmującej się młodzieży do rydwanu politycznego z niczem nie liczących się stronnictw politycznych. W konkluzji niech nam będzie wolno mocno uścisnąć pańską zacną dłoń p. Profesorze i życzyć Panu z całego serca jaknajwiększego powodzenia na tej drodze—zawsze szczerze i z zapałem obok Pana kroczyć będziemy.

Jerzy Bojańczyk



O wzmożenie aktywności klubów wioślarskich

Specyficzna struktura i zakres działalności klubów wioślarskich utrudnia w wysokiej mierze określenie, które z klubów należą do klubów aktywnych, a które maskują jedynie działalność sportową. Klub, który nie jest zdolny do żadnego wysiłku naprawdę twórczego, zawsze z końcem roku potrafi się wykazać, że „tyle a tyle kilometrów przewiosłowano", „tyle a tyle wycieczek urządzono", i t. d., tak, że dla laika zawsze to będzie pewnym obrazem działalności. Gdyby jednak sięgnąć nieco głębiej, to okaże się, że te wszystkie kilometry przyniosły prawie że nic, że owe ‚wycieczki" nie były niczem innem, jak tylko spacerami w najbliższe okolice miasta.

Dużo ożywienia wniosła w życie sportowe t. zw. tabela punktacyjna. Klub niefigurujący w tabeli dowodzi, że faktycznie nie pracuje i obecnie nie wystarczą już same sprawozdania i wykazy kilometrażu; jeśli nie figuruje się na tabeli, to tego rodzaju sprawozdania będą zawsze mniej lub więcej mydleniem oczu. Kto wie czy dla całkowitego zdemaskowania zupełnie nieczynnych sportowo klubów nie byłoby właściwem ustanowienie także i pewnej tabeli punktacyjnej dla turystów, przyczem w tabeli tej punktowane mogłyby być jedynie dalsze wycieczki, przynajmniej od 50 km. w górę. Wówczas okazałoby się, jak dalece małą jest działalność pewnych klubów i jak dalece idą one po linji najmniejszego oporu, zadawalając się t. zw. życiem towarzyskiem, które nie ma nic wspólnego ze sportem.

Inne gałęzie sportu są w nieco lepszej sytuacji. Nigdzie bowiem zróżniczkowanie działalności nie jest tak dalece posunięte, jak właśnie w wioślarstwie. Nieco podobieństwa wykazuje kolarstwo, ale ze względu na powszechne użycie roweru jako środka lokomocji, kluby kolarskie muszą więcej pilnować działalności sportowej, niż nasze kluby wioślarskie.

Zapewne, gdyby w każdem mieście powstały dobrze wyposażone wypożyczalnie łodzi, dysponujące wszelkiemi typami łodzi, dobremi szatniami i t. d., wówczas sytuacja zmieniłaby się i kluby zmuszone byłyby do większej pracy, podobnie jak jest, np. w Anglji. U nas jednakże w wielu wypadkach klub wioślarski przypomina wypożyczalnię łodzi, przyczem jakiekolwiek ambicje sportowe są dość obce niektórym naszym „manerom" klubowym. U niektórych wogóle pojęcie dobrego klubu sportowego utożsamia się z bankiem, wzgl. towarzystwem akcyjnem, posiadającem duży zasób gotówki w kasie.

O ile jednak posiadanie większego zapasu gotówki ułatwia w wysokim stopniu pracę sportową, o tyle znów posiadanie nawet kilku miljonów na koncie bankowem przy absolutnym braku wyczynów sportowych nigdy nie będzie stanowiło o dobrym poziomie danego klubu sportowego.

W r. u. wprowadzono inowację do wioślarskiej tabeli punktacyjnej, a mianowicie dodaje się punkty za start. O ile system ten okazał się skutecznym w następstwach, gdyż klubom pracującym w cięższych warunkach daje on szerszą możność zaznaczenia swej aktywności, o tyle znowu wpłynął poniekąd na zmniejszenie działalności sportowej pewnych, mniej ambitnych klubów. Kluby te poprostu zadowoliły się tem, że figurują w tabeli, bez oglądania się na możność wspięcia się wyżej przez popieranie ruchu sportowego, do czego moralnie zmusza je nazwa klubu sportowego.

Okazuje się więc konieczność wprowadzenia znowu jakiegoś ulepszenia tabeli punktacyjnej, któreby skłoniło nasze towarzystwo do energiczniejszych posunięć. Rzecz prosta, że pewne kluby pracują doskonale nawet bez tego bodźca zewnętrznego, którym miała być i jest zapewne tabela punktacyjna, chodzi jednak o te kluby, które same ze siebie, z przesłanek ideowo-sportowych nie są zdolne do wykrzesania z siebie iskry zapału do pracy sportowej.

Wiceprezes PZTW inż. Loth rzucił niedawno ciekawą myśl wprowadzenia podziału klubów wioślarskich na klasy, odpowiadające poniekąd tym klasom, jakie mamy w footballu, lekkiej atletyce i t. d. Kto wie, czy myśl ta nie jest obecnie właściwem rozwiązaniem problemu i nie zmusi kluby do większej pracy.

Projekt rzucony przez p. Inż. Lotha rozwinąłby w ten sposób, że podziału na klasy dokonałoby się na podstawie tabeli za rok 1934. Coprawda, to pewne kluby będą mogły żałować, że nie zastosowano, np. tabeli z r. ub., ale na to już nie ma rady. Ponieważ w tabeli figuruje 40 klubów, przeto kluby te będą tworzyły przedewszystkiem podstawę podziału.

Do pierwszej klasy zaliczyłbym dziesięć pierwszych klubów w tabeli, a więc: Kaliskie T. W., Waszawskie T. W., Bydgoskie T. W., WKS Grodno, K. W. „Wisła", Warszawa, Kolejowy K. W. Bydgoszcz, WKS „Śmigły" Wilno, K. W. „04" Poznań, AZS Wilno i RKS „Prąd" Warszawa. W liście tej brakuje, jak widzimy wielu towarzystw o bardzo bogatej tradycji sportowej — właśnie brak ten może poważnie wpłynąć na zwiększenie ich aktywności w dalszej przyszłości.

W obsyłaniu regat oczywiście, nie zaszłaby zmiana. Możnaby jedynie wprowadzić biegi dla klubów innych klas, poza pierwszą, umożliwiając uzyskanie sukcesów przez słabsze kluby. Tabela punktacyjna prowadzona byłaby odrębnie w I klasie z tem, że np., jeden, czy dwa ostatnie kluby, (byłbym zwolennikiem dwóch klubów), które zajmą ostatnie miejsca w tabeli, spadłyby do drugiej klasy.

W obecnej chwili tę drugą klasę tworzyłyby kluby: T. W. Włocławek, AZS Kraków, AZS Poznań, PTW „Tryton" Poznań, KW „Gryf" Bygoszcz, KW Toruń, TW „Polonja" Poznań, KW „30" Kalisz, Policyjny K. S. Kalisz, T. W. Płock, AZS Warszawa, K. W. Gdańsk, KW „Syrena" Warszawa, WKS „Prosna" Kalisz, i RKS „Tramwajarz" Warszawa. Mielibyśmy więc grupę 15 klubów o mniej więcej znowu wyrównanym poziomie. Tabela punktacyjna klubów II klasy byłaby prowadzona znowu osobno, przyczem na końcu sezonu dwa pierwsze kluby wchodziłyby do I klasy (bez względu na to, czy miałyby więcej punktów od ostatnich klubów I klasy, czy mniej), a dwa ostatnie spadałyby do III klasy, zmieniając się z dwoma pierwszemi III klasy, któreby znowu awansowały do II klasy.

Do III klasy zaliczyłbym następne 15 klubów, a mianowicie: Kujawski K. W. Włocławek ,Kolejowy K. W. Tczew, K. S. ZUAW Warszawa, KW Barcin, Oddział Wioślarski Sokoła Kraków, KW. „Wisła" Grudziądz, Policyjny K. S. Wilno, Chełmżyńskie T. W. Chełmża, Policyjny K. S. Kraków, Pocztowe P. W. Bydgoszcz, KW „Gopło" Kruszwica, TW Pakość, WKS Żolibórz Warszawa, KS. ZUK Warszawa i TW Łomża. I znowu tabela punktacyjna w tej grupie byłaby prowadzona osobno, przyczem dwa pierwsze kluby z końcem roku, bez względu na ilość punktów awansowałyby do II klasy, a dwa ostatniej spadałyby do czwartej klasy, wymieniając się z dwoma pierwszymi klubami tejże klasy. Do IV klasy należałyby wszystkie kluby związkowe, które w r. 1934 nie znalazły się w tabeli punktacyjnej.

Projekt ten posiada jedną wielką dodatnią stronę, a mianowicie zmusi towarzystwa (oczywiście, przyjmuję zgóry, że towarzystwa nasze nie są zupełnie wyprane z ambicji sportowej), znowu do bardziej wytężonej pracy. Wiem z doświadczenia w innych działach sportu, że kluby zagrożone możliwością degradacji pracują usilniej, a znowu

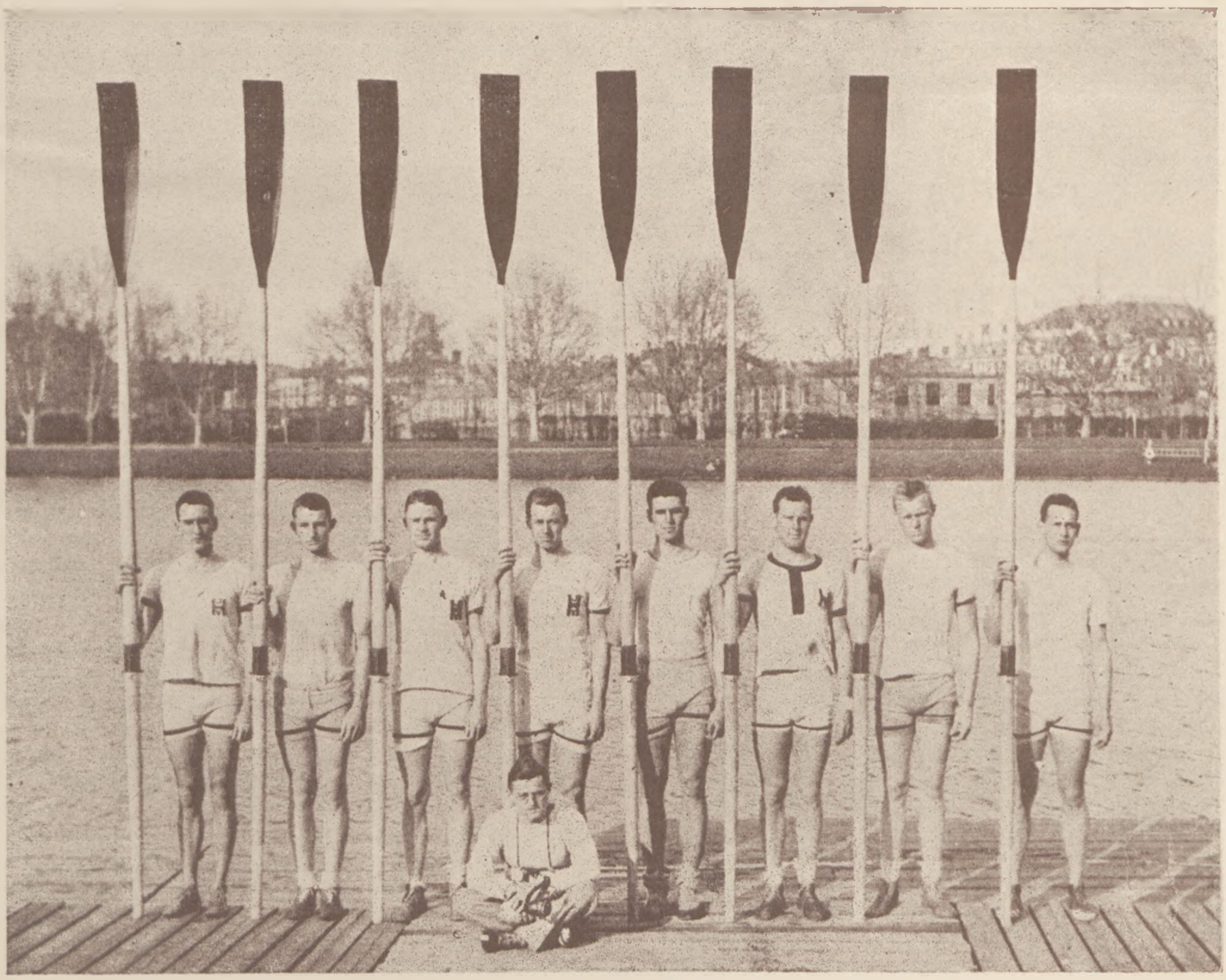
kluby, które mają szanse na awans także przykładają się więcej do pracy. Możnaby więc przypuszczać, że wymiana klubów między poszczególnemi grupami ożywi nasz sezon, a przytem wpłynie zapewne także na zwiększenie zainteresowania regatami wioślarskiemi wśród tych sfer, które dotychczas nie interesowały się zupełnie naszym sportem. To są bezwątpienia kolosalne plusy inowacji.

Chcąc uprzedzić krytykę, która się niewątpliwie pojawi po opublikowaniu niniejszego projektu, chcę także poruszyć minusy. Pierwszym minusem, który łatwo może się zdarzyć jest to, że towarzystwa spadające, np. z pierwszej klasy do drugiej będą miały więcej punktów od towarzystwa II klasy „awansujących" z drugiej do pierwszej. Na to jednak już nie ma rady. Klubom spadającym z klasy wyższej do niższej pozostanie ta pociacha, że na przyszły rok mogą wrócić do wyższej klasy stosunkowo bez większego trudu.

Drugim błędem, może optycznie jeszcze bardziej „krzywdzącym" niektóre kluby będzie to, iż np. klub trzeciej klasy, który w r. 1935 zdobędzie ilość punktów równą dajmy na to trzeciemu klubowi I klasy, nie będzie mógł awansować wyżej, jak do drugiej klasy. Ale i na to jest argument, a mianowicie wyjdzie na jaw konieczność takiego prowadzenia pracy w klubie, aby unikać zbyt wielkich wahań od wyczynów rekordowych do całkowitej inercji. Ostatecznie możnaby na koniec roku podawać pełną tabelę klubów, bez uwzględnienia klas, gdzie zaznaczyłaby się aktwność pewnych klubów w innem oświetleniu. Należy przytem pamiętać, że w razie wprowadzenia podziału na „klasy" możnaby w regatach wprowadzić pewne biegi wyłącznie zastrzeżone dla pewnych klas, z tego też tytułu zwycięstwa i punkty zdobyte przez „niższe" klasy, miałyby inną wartość rzeczywistą od zwycięstw i punktów pierwszej klasy.

W biegach przeznaczonych dla towarzystw niższej klasy nie mogłyby oczywiście startować towarzystwa wyższej klasy, natomiast uważam, że biegi bez ograniczeń powinny być dostępne wszystkim klasom, podobnie, jak biegi o mistrzostwo.

Rozgrywki możnaby ożywić przez dodanie specjalnych nagród związkowych dla klubów zwyciężających w poszczególnych kategorjach. Nagrody te powinny być fundowane przez związek i powinny być jednorazowe, gdyż w innym wypadku mogłyby osłabić dążność do zdobywania pierwszych miejsc w niższych klasach. Najwyżej nagroda za zajęcie pierwszego miejsca w I klasie mogłaby być wędrowna. Pozatem możnaby jeszcze przeznaczyć nagrodę dla towarzystwa, które zajmie pierwsze miejsce w tabeli bez względu na podział na klasy. Chodziłoby o to, aby towarzystwo dajmy na to II klasy, które w danym roku ma szanse na zajęcie pierwszego miejsca w tabeli bez ograniczeń nie było pozbawione bodźca zewnętrznego, co byłoby bardzo łatwo możliwem gdyby, np. towarzystwo to już na połowie sezonu zdobyło tyle punktów, że jego awans do I klasy



Reprezentacyjna osada wioślarska uniwersytetu Harward — Ameryka.

był przesądzony. Mogłoby to spowodować obniżenie działalności w sezonie jesiennym.

Zgóry zaznaczam, że powyższy projekt nie jest pozbawiony cech ujemnych, ale według mnie cechy te są znakomicie przeważone przez cechy dodatnie. Przeprowadzenie podziału na klasy, prowadzenie weryfikacji, tabel poszczególnych klas i t. d., mogłoby ew. obciążyć naszą administrację związkową, lecz jestem zdania ,iż zadanie to możnaby przerzucić na tych członków zarządu PZTW, którzy mieszkają poza Warszawą i z tego tytułu mają mniej czasu zajętego przez sprawy związkowe. Odnoszę wrażenie, że chętnych nie brakłoby. W konkretnym wypadku Komitety Międzyklubowe nadsyłałyby protokóły z regat w dwóch egzemplarzach, z których jeden byłby natychmiast przesyłany do odnośnego referenta „weryfikacyjnego".

Gdyby projekt powyższy wydawał się niezupełny, możnaby go wprowadzić na zasadzie próby, a dopiero w r. 1936 wprowadzić na stałe do tabeli. Dobrzeby było, gdyby w tej sprawie zabrały głos także i inne osoby, zainteresowane w organizacji związku, tak, aby projekt ten mógł zostać oficjalnie zgłoszony na Sejmik wioślarski w r. 1935.

W. Długoszewski

Ministerstwo Oświaty podtrzymuje zakaz szkolny

Dnia 22 listopada r. b. prezes Związku Związków Sportowych płk. dypl. Ulrych i przewodniczący Polskiego Komitetu Igrzysk Olimpijskich płk. dypl. Glabisz przyjęci zostali przez Ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego p. Wacława Jędrzejewicza.

Przedstawiciele zrzeszonego świata sportowego przedłożyli panu Ministrowi memorjał w sprawie ministerjalnego zakazu należenia młodzieży do klubów sportowych. W memorjale tym zarząd ZZ. cytując przykład zagranicy, wskazywał na konieczność odmiennego uregulowania tego zagadnienia, wysuwając jednocześnie koncepcję, opartą na wzorach węgierskich. Według projektu ZZ uczniowie osiągający pewną granicę wieku, a wykazujący specjalne dyspozycje sportowe, mieliby prawo uczestniczenia w klubach i startowania w zawodach pod warunkiem wykazania się zadawlającemi postępami w naukach, zezwoleniem rodziców i lekarza.

Delegaci wyłuszczyli panu Ministrowi trzy memorjały i zwrócili uwagę na straty, jakie ponosi ruch sportowy i młodzież szkolna spowodu bezwzględnego zakazu współpracy.

Pan Minister oświadczył, że ministerstwo nie może się zgodzić na cofnięcie okólnika, zabraniającego należenia młodzieży szkolnej do klubów ze względów zasadniczych. Szkolnictwo bierze na siebie zadania wychowawcze i pedagogiczne i nie może robić wyłomu w zakazie należenia uczniów do jakiejkolwiek organizacji pozaszkolnej.

Jednocześnie jednak pan Minister stwierdził, że waga wychowania fizycznego i sportowego młodzieży jest przez władze wzupełności doceniana i że zamiłowania sportowe uczniów znajdą uzewnętrznienie w międzyszkolnych kółkach sportowych, które powstaną we wszystkich większych miastach.

Odpowiedź pana Ministra Jędrzejewicza oznacza całkowitą porażkę dążeń naszego świata sportowego.

Zeglarstwo w 1934 r.

Nasz sport żeglarski, jeden z najmłodszych, bo zorganimasom trzebaby przejść na masową produkcję joli rzeczwija się pomyślnie— mimo ciężkich „kryzysowych" czasów. Powszechne zubożenie społeczeństwa odgrywa w poczynaniach żeglarskich niepoślednią rolę, gdyż drogi tabor jachtowy stanowi pokaźną inwestycję, obciążającą dotkliwie chude naogół kieszenie sportowców, czy świecące pustkami kasy klubów wodniackich.

Pragnąc umożliwić uprawianie żeglarstwa najszerszym masom trzebaby przejść na masową produkcjd joli rzecznych i jachtów morskich, co, niestety, narazie stanowi jeszcze... muzykę przyszłości. Typy tańszych joli t. zw. „charpie", których przepisy budowlane opracowała Komisja Techniczna P. Z. Ż. i dalsze, będące w opracowaniu, udostępniają już w pewnym stopniu żeglarzom, o skromniejszych wymaganiach i mniejszych możliwościach finansowych, jachtowanie na klasowych jednostkach, obliczonych i skonstruowanych przez wybitnych specjalistów (zagranicznych). Może dzięki temu znikną z naszych rzek pokraczne „trumny" i „skrzynie", klecone przez domorosłych budowniczych „okrętowych", a pozbawione elementarnych własności nawigacyjnych pod względem równowagi, oporów stawianych wodzie, czy zwrotności.

Nasz jachting słodkowodny, urzędowo śródlądowy zwany, ma w tym jubileuszowym 10-ym roku istnienia P. Z. Ż. oprócz zwykłych regat, rozgrywanych rok rocznie, nowe imprezy żeglarskie na dorobku: jesienny „zlot" na jeziora Augustowskie, gdzie — w warunkach bezporównania lepszych, niż na Wiśle — rozegrano ogólno polskie regaty klasyfikacyjne, tudzież udział w t. zw. „Tygodniu Kilońskim", czyli regatach międzynarodowych na ważnym, bo przewidzianym na najbliższą Olimpjadę, terenie wodnym. Zaledwie dwa lata dzielą nas od organizowanej przez Niemcy Olimpjady, jeśli mamy więc brać w niej udział, trzeba pilnie pracować nad wyszkoleniem ludzi i wydarciem zagranicznym jachtsmenom różnych sekretów zawodowych z dziedziny konstrukcji jachtów, ożaglowania i takielunku, a nawet... farb i lakierów do konserwacji taboru.

Regaty kilońskie wiążą się bezpośrednio z najważniejszym terenem pracy żeglarskiej — z morzem.

Jeden z morskich jachtów polskich zręcznem manewrowaniem przy wchodzeniu do Kilonji zrobił podobno dodatnie wrażenie na starych wilkach wód słonych, zgromadzonych tam z racji „Tygodnia".

Z wewnętrznych imprez morskich, zorganizowanych przez kluby, zrzeszone w P. Z. Ż., na pierwszy plan wysuwa się, rzecz prosta, bieg transbaltycki z Gdyni do Visby w połowie czerwca.

Te drugie już z kolei doroczne regaty pełnomorskie, przeprowadzone przez Oddział Morski Y. K. P. w Gdyni, dowiodły, że mamy już spory zastęp ludzi otrzaskanych dostatecznie z groźnym żywiołem morskim. Poważna odle-

głość (z górą 200 mil. morskich) i trasa przez puste, nieuczęszczane prawie, połacie środkowego Bałtyku, wpłynęły na mniejszą może frekwencję, niż w zeszłorocznym biegu (Gdynia—Bornholm). Nie startował w tym roku ani „Mohort" (O. Y. K.), ani „Jurand", zeszłoroczny zwycięzca, a w klasie slupów szły właściwie trzy tylko jachty i poza konkursem żeglujący „Pirat" (z Gdańska).

Ciężki sztorm w drodze powrotnej, zmuszający do ratowania się na dryfkotwie nawet admiralską „Temidę I", dostarczył niemało emocji uczestnikom i dowiódł doświadczenia naszych dowódców i sprawności załóg. Obyło się bez awarji jak w roku zeszłym, kiedy to poszedł na dno jacht „Orion" już prawie na trawersie Rozewia.

Regaty visbiańskie dały możność nakręcenia ciekawego filmu (z pokładu „Temidy I"), który dla propagandy polskiego jachtingu wyświetlany jest obecnie, jako dodatek sportowy w szeregu kin warszawskich. Odrębną „epopeję" filmową i żeglarską stanowi wiosenna wyprawa „Temidy I" na fiordy norweskie, przerwana dzięki częściowej awarji osprzętu podczas sztormu na drugi dzień Zielonych Świątek w zachodniej części Bałtyku (na Stolpe-Bank) w drodze na Bornholm. Kinooperator, towarzyszący i tej wyprawie, uchwycił szereg kapitalnych momentów sztormowych ne pełnem morzu oraz u brzegów Helu. Wyświetlanie tych scen w kinach całej Polski przyczyni się, miejmy nadzieję, skuteczniej do propagandy żeglarstwa pełnomorskiego, niż słowo żywe, czy pisane.

Organizacje sportowe, działające na morzu poza P. Z. Ż., potrafiły w tym roku pokaźnie zwiększyć swój tabor i swe hufce żeglarskie.

Harcerstwo nabyło okazały trójmasztowy szkuner o wyporności, blisko 300 ton i prowadziło licznie obsadzony Ośrodek Morski dla pierwiastkowego szkolenia w Jastarni. W końcu sezonu pod dowództwem gen. M. Zaruskiego odbyli starsi harcerze dłuższą 3-tygodniową wyprawę „Temidą I" do Stokholmu i na Łotwę.

Oba Ośrodki Morskie w Gdyni: jachtsmeński i harcerski były w tym roku licznie obesłane. Działał również A. Z. M. na swej zeszłorocznej flotylli, przeważnie w obrębie wód terytorjalnych.

Wreszcie sławny jacht „Dal" (pod banderą O. Y. K.) zdołał w tym roku urzeczywistnić końcowy etap „skoku przez Atlantyk": z Bermundów do Ameryki.

Trudno tu nie wspomnieć o wyczynie jeszcze jednego zapalonego włóczęgi wodnego, acz dokonanym na sprzęcie, nieznanym w klasach joli, czy jachtów. Gigantyczny projekt dr. Korabiewicza — podróży z Polski do Szanghaju (2-letni) na ożaglowanym kajaku (sztywnym) został w 1-szej części zrealizowany: pp. Korabiewiczowie przybyli szczęśliwie do jednego z portów Syrji, przebywając kabotażową żeglugą m. Czarne, Egejskie i część Śródziemnego.

Wagner na nowej „Zjawie" szykuje się do zuchwałej wyprawy na Pacyfik.

„Dobrego Wiatru!" — życzymy mu z nad Wisły.

R. Niewiadomski

Szkolenie młodych żeglarzy

Właściwie tytuł powinienby brzmieć: „Szkolenie najmłodszych żeglarzy", gdyż o nich tu tylko będzie mowa.

Artykuł niniejszy jest streszczeniem bardzo ciekawych uwag, podanych na powyższy temat w drugim numerze wrześniowym czasopisma „Die Yacht". Uwagi te są szczególnie godne zainteresowania, gdyż podał je na podstawie długoletnich doświadczeń, kierownik szkoły jachtowej niemieckiego „Hochsoosportverband Hansa", wybitny żeglarz regatowy i turystyczny, komandor von Nostitz.

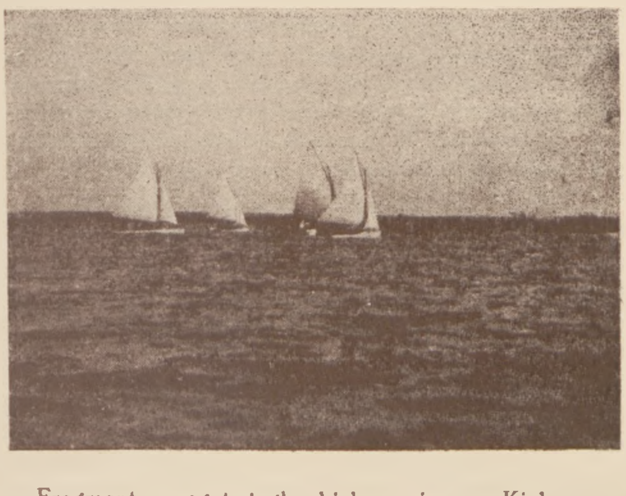
Przedewszystkiem wyjaśnia Nostitz, jaki jest ostateczny cel szkolenia młodzieży w klubach żeglarskich i motorowych.

Narybek tych klubów stanowi ta część młodzieży, która interesuje się morzem, lecz z tych lub innych przyczyn, nie może poświęcić się zawodowi związanemu z morzem. To zainteresowanie należy przeto wyzyskać inaczej, nie tylko pod kątem widzenia rozrywki i sportu, lecz dla wielkich celów społecznych. Zadaniem klubów jest zamienić zainteresowanie morzem, na zrozumienie morza i wszelkich z nim związanych spraw.

Tu cytuje Nostitz zdanie admirała Tirpitza wypowiedziane po przegranej wojnie: „Naród niemiecki nie rozumiał morza". Dzięki propagandzie prowadzonej za sprawą Tirpitza, zainteresowanie morzem było przed wojną duże, ale zrozumienie spraw morskich pozostawiało wiele do życzenia:

„To musi się teraz zmienić. Zainteresowanie tylko dla przyjemności nie wystarczy, jeżeli nasz naród chce znów kiedyś dojść do potęgi. Potrzebujemy przynajmniej w tej warstwie młodzieży, która ma kiedyś zająć stanowiska kierownicze, ludzi, którzy oprócz swojego zawodu, obrali sobie morze, jako specjalność i uzyskane w ten sposób głębokie zrozumienie wszelkich zagadnień znaczenia na morzu i potęgi morskiej, potrafią zastosować z korzyścią dla całości, w polityce i gospodarce. Tym gruntem, na którym powinny wyrastać pierwsze kiełki tego zrozumienia muszą być nasze kluby, gdyż one otrzymują zgóry do tego przydatny materjał ludzki i w ich szeregach powinna przedewszystkiem istnieć znajomość morza i żeglugi, która ma być przekazana młodzieży".

Niejeden instruktor zapyta pewnie, skąd wziąć czasu na tak obszerny program, mając do dyspozycji tylko „week end'y". Na to odpowiada Nostitz, że rzecz nie jest tak trudna, jakby się zdawało. W oddziałach szkolnych dla młodzieży dajemy tylko podstawy, na których młodzież, gdy dorośnie, ma dalej budować. Trzeba tylko dwóch rzeczy: wzbudzić w młodych ludziach poczucie, że należą do wielkiej żeglarskiej rodziny i dać im jaknajwięcej praktycz-



Fragment z regat żeglarskich na jez. w Kiekrzu

nych i teoretycznych wiadomości z zakresu żeglugi zawodowej. Jakkolwiek warunki zmuszają do stawiania pierwszych kroków na wodach wewnętrznych, to przecież ostatecznym celem jest morze i tylko na morzu „otrzymuje żeglarz ostatnie święcenie" Należąc do wielkiej rodziny żeglarskiej, nie może jachtsmen ograniczyc się do swojego portu, nie może stać zdala od życia zawodowych żeglarzy, lecz musi być dobrze obeznany z ich zwyczajami i warunkami życia. Ażeby ten cel osiągnąć daje Nostitz pewne praktyczne wskazówki. Tak, np. radzi nie omijać żadnej sposobności, którą można wyzyskać do zapoznania szkolnej młodzieży z żeglugą zawodową. Jako przykłady podaje pomaganie szyprom na rzekach i kanałach przy przeciąganiu się z miejsca na miejsce, wywożeniu cum i t. p., lub przynajmniej obserwowanie takich manewrów. Jako rzecz bardzo pożądaną i do budzenia poczucia żeglarskiego pożyteczną uważa zaokrętowanie młodych żeglarzy pod kierunkiem instruktorów na holowniki morskie i statki pilotów, a nawet wyzyskanie do celów szkolenia krótkich rejsów regularnych linji okrętowych, np. Hamburg-Londyn i spowrotem.

Jak widać z powyższego, według niemieckich poglądów, szkolenie młodzieży (od lat 14 do 17) na kursach klubowych, ma cel daleko zakreślony i jest prowadzone pod kątem widzenia wyszkolenia ogólno-żeglarskiego, a nie specjalnie sportowego. Wyszkolenie specjalnie sportowe nabywają młodzi ludzie później przez udział w imprezach sportowych organizowanych przez kluby.

W naszych warunkach na szczególną uwagę zasługują wytyczne Nostitza dotyczące strony moralnej metody szkolenia. Nastawienie całego systemu wychowania młodzieży w dzisiejszych Niemczech jest wybitnie wojskowe. To też i Nostitz przywiązuje wielką wagę do obserwowania karności i dyscypliny, ale przestrzega równocześnie przed przesadą w tym względzie:

„Żołnierz i marynarz są to dwa zawody, które mają wiele „płaszczyzn tarcia". Stare doświadczenie marynarki wojennej uczy, że właśnie najlepsi marynarze, byli wszystkiem innem, niż dobrymi żołnierzami, o ile chodzi o formę. Jest to zupełnie zrozumiałe. Forma wojskowa wymaga, żeby żołnierz reagował na pewne ścisłe rozkazy przez wykonanie pewnych ścisłych czynności, prawie niezależnie od otaczającego go świata. Marynarz natomiast, musi nieraz błyskawicznie reagować na pewne zjawiska w otoczeniu, a wszelkie rozkazy z innej strony przeszkadzają mu tylko. Jednem z najważniejszych zagadnień szkolenia w marynarce wojennej jest przeto uzgodnienie wymagań formy wojskowej z koniecznościami marynarskiemi".

„Narybek żeglarski klubów otrzymał już gdzieindziej „formę" wojskową (P. W. w szkołach), tak, że instruktor nie będzie miał pod tym względem nic więcej do zrobienia, będzie tylko musiał pouczyć ich (naturalnie odpowiednio ostrożnie), że na pokładzie jest żeglarstwo pierwszą rzeczą".

„Jeżeli przedstawimy to młodym ludziom, jako naszą szczególność, i będziemy to stale podkreślać, to wyrobi się wnet u nich pojęcie, że mają coś szczególnego, będą z tego dumni i będą się starali zdziałać w tym względzie — t. zn. w sprawach żeglarskich — coś nadzwyczajnego".

Naturalnie nie należy popadać w drugi ekstrem i utożsamiać żeglarskiego zachowania z niedbalstwem i chamstwem.

Na jachcie musi panować duch dyscypliny, porządku, dokładności i szybkości. Środkiem do osiągnięcia tych właściwości jest manewr żeglarski. Im większy jest statek szkolny, tym łatwiej można cel osiągnąć. Ale i na najmniejszych jachtach należy wymagać precyzyjnej i systematycznej pracy. Tylko na szybkość manewrów nie można i nie trzeba na małych jednostkach kłaść nacisku, gdyż zostałyby one wkrótce zniszczone. Na małych jednostkach muszą załogi pozostawać zawsze razem. Mogą zmieniać jacht, ale zawsze razem i pod odpowiedzialnością tego samego sternika.

Nawet na małych jachtach poleca Nostitz ustalenie stałego rozkładu dla każdego manewru, przyczem wszystko powinno odbywać się na komendę sternika. Przyzwyczaja to młodzież do precyzyjnej pracy, a sternika do jasnego wydawania rozkazów. Na jachcie musi być wymagany stale jaknajwiększy porządek i zupełna cisza. Z wyjątkiem sternika nie wolno nikomu nic mówić. Załoga powinna siedzieć w odpowiedniej postawie i nie podnosić się z miejsca tylko dla wykonania jakiejś czynności. Szczególną uwagę należy zwracać na zachowanie się załogi i zewnętrzny wygląd jachtu przy wychodzeniu z portu i wchodzeniu do portu. Bardzo ważną rzeczą jest uporządkowanie pokładu po każdym wykonanym manewrze..

Jako zakończenie szkolenia indywidualnego na poszczególnych jachtach, zaleca Nostitz ćwiczenia zespołowe, t. j. żeglowanie w szyku i wykonywanie ewolucyj na zgóry ustalony sygnał optyczny lub akustyczny (gwizdek). Osobiście uważam to za rzecz bardzo pożyteczną. W początkach mojej służby morskiej, robiliśmy takie manewry na szalupach pod żaglem i muszę przyznać, że przyczyniło się to bardzo do opanowania łodzi, poznania ich właściwości, precyzyjnego manewrowania i do szybkiej decyzji. Szczególnie jako przygotowanie do regat uważam tę metodę szkolenia za bardzo celową.

Instruktor powinien zrobić sobie plan szkolenia na cały okres letni, zaczynając od elementarnych rzeczy i postępując konsekwentnie i systematycznie do coraz poważniejszych.

Zupełnie słusznie uważa Nostitz, że każdy okres szkolenia powinien być zakończony inspekcją przez władzę klubu czy związku, gdyż dodaje to powagi i zmusza instruktorów i uczniów do bardziej intensywnej i dokładnej pracy, gdy czują, że wyniki tej pracy będą poddane ocenie i krytyce przez jakąś wyższą instancję.

Czesław Petelenz



Przystań żeglarska, harcerskiej drużyny Wilków Morskich w Kiekrzu

Zbliżenie międzynarodowe na obozie żeglarskim

Krzyk i śmiech. Szczęk łyżek, dźwięk szklanek i głośne zapytania. Z jednego końca stołu prosi ktoś po francusku o jedzenie. Rumun zwraca się po niemiecku do rodaka, Polak odpowiada po rosyjsku Polakowi, Łotysz do rodowitego Ryżanina (z... Rygi) mówi łamaną polszczyzną...

Oto mały obrazek dźwiękowy bałaganu na żeglarskim obozie Ligi Zbliżenia Międzynarodowego, czyli poprostu „międzynarodówki" z nad jezior trockich.

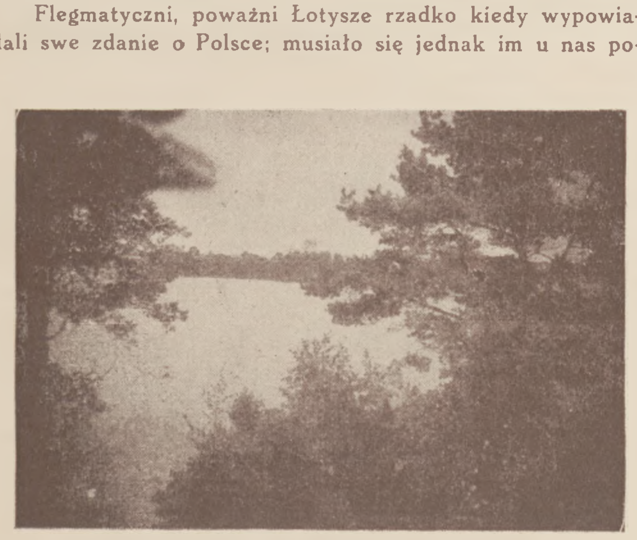
Goście zagraniczni uczą się wraz z Polakami pływania; z powagą powtarzają żartobliwą komendę: „w wodzie brr, brr, nogami bum, bum". Spokojny Łotysz, jak zwykle rycerski, tłómaczy polskiej koleżance, odnoszącej się trochę nieufnie do jego zdolności profesorskich, zasady crawla. Przygony tłumacz objaśnia dosłownie z rosyjskiego: „Proszę się na mnie położyć lubieżna pani..."

Pierwszy wyjazd „czwórką na 4 długie", mieszaną pod względem narodowościowym obfituje w zabawne momenty, gdyż komenda jest nadal podawana w języku polskim. Mówiono pocichu i o tem, jak to o mało co żaglówka nie zanurzyła się w falach jeziora, gdy Rumun, źle zrozumiawszy rozkaz sterniczki—Polki, zbalastował łódź w kierunku przeciwnym. Tylko w sprawach flirtu nie było nieporozumień; przyłożenie ręki do serca, czułe westchnienie, są aż nadto wymowne; miłość jest przecież międzynarodowa. To też na tem polu zbliżenie było najbardziej istotne... zwłaszcza, gdy do sielanki polsko-rumuńsko-łotewskiej, dodano papryki węgierskiej.

Przyjazd 5 studentów z Budapesztu wywołał wielką sensację i prawdziwy przewrót w spokojnem życiu obozu. Swój temperament pokazali Węgrzy już pierwszego wieczoru, gdy zaśpiewali przy ognisku żywe, a tęskne czardasze. Doskonali pływacy, wioślarze, i żeglarze, a oprócz tego... flirciarze I klasy, zdobyli uznanie nietylko wśród Polek, ale i wśród kolegów. Ujęło wszystkich przedewszystkiem to, że prawdziwie i serdecznie umieli ocenić piękno krajobrazu, podobała im się organizacja kursu, z humorem znosili niewygody życia obozowego, za wszystko okazując wdzięczność szczerze i poprostu.

Rumuni, niestety, byli przeważnie niezadowoleni; sienniki zatwarde, pobudka zawcześnie, jedzenie zbyt proste, kobiety... nie łaskawe, no a piękno natury... „U nas o wiele ładniej"... Na szczęście ich jednostronne sądy łagodziły zawsze milutkie Rumuneczki, które w każdym liście do kraju chwaliły Polskę, czyniąc jej tem samem doskonałą reklamę.

Flegmatyczni, poważni Łotysze rzadko kiedy wypowiadali swe zdanie o Polsce; musiało się jednak im u nas podobać, gdyż kilku z nich odwiedziło Troki już po raz drugi. Ze szczerym zachwytem odnosili się do piękna jezior i lasów, malowniczości miasteczka, dekoracyjności ruin zamczyska.



Troki. Widok na ruiny zamku Kiejstuta



Troki. Port żeglarski

O Wilnie mówili naogół, że „to dziwne miasto! Ruch i zwyczaje małomiasteczkowe, domy i ulice banalne, a tyle starych, ciekawych pamiątek!" Podziwiając świątynie, każdy z cudzoziemców chciałby w swym kraju posiadać taki kościół, jak Piotra i Pawła. Uznali, że wnętrze jego jest bezsprzecznie najpiękniejsze w Europie.

Ogólną wesołość wzbudziły słynne „kocie łby" i „dryndy" wileńskie z oponami samochodowemi na kołach; wszystkim b. smakowały czekolada i ciastka; Węgrów zastanowiła odrębność ukłonu wojskowych, zainteresowanie wzbudziły nasze śpiewy kościelne i procesje.

* * *

Najlepszą jednak reklamą dla piękna Polski była tygodniowa wycieczka kajakowa, zorganizowana dla „międzynarodowców" i Polaków. „Załadowano" nas 34 osoby i 18 kajaków, do pociągu w Wilnie i rozśpiewanych, rozkrzyczanych „wyładowano" w Kobylnikach. Stamtąd kajaki na furę, my piechotą, poszliśmy między zbożami do schroniska nad Naroczą. Trzykrotny okrzyk: „Kurs czołem!" wita jezioro wychylające się zza wzgórz pokrytych lasem sosnowym. Po rozpakowaniu bagaży zbiórka nad brzegiem jeziora i podział na załogi. Każda panna otrzymuje silnego chłopca, który zobowiązany jest wykonywać wszystkie trudniejsze prace, i który ma prawo żądać od swej „kajakowej żony", aby dbała o jego ubranie i jedzenie. Aby zbliżeniu międzynarodowemu stało się zadość, Rumuneczki jadą z Polakami, Węgrzy „zabierają" sobie polki i t. d. Wszyscy zgodnie myją kajaki i układają na piasku jeden koło drugiego. Wieczorem, w niemym zachwycie, spoglądamy na jezioro; jest koloru szafirowo-zielonego. Zachodzące słońce rzuca złociste czerwone reflektory — w dali ledwo majaczy ciemny pasek przeciwległego brzegu.

Po nocy przespanej w namiotach, tuż około schroniska o płaskim dachu i obszernych tarasach, ładujemy kajaki i dwójkami przepływamy przez jezioro. W połowie lądujemy na ślicznej plaży; w pobliżu tego uroczego, a zupełnie nie zamieszkałego zakątka, biegnie szosa; słyszymy nawet dźwięk trąbki samochodowej. Ukryte wśród nadbrzeżnych krzewów znajdują się jeszcze zasieki z drutów kolczastych i schrony karabinów maszynowych z wielkiej wojny. Tu to-

czyły się najgorętsze walki i tysiące trupów spoczęło na dnie Naroczy.

Przepływamy przez spokojne jezioro, zadziwiająco gładkie — Narocz bowiem słynie z kapryśnej burzliwości — zatrzymujemy się w drewnianem schronisku — pensjonacie na „Franciszkanach". Po obiedzie wyruszamy do lasu pełnego paproci i wysokich krzaków oblepionych wielkiemi jagodami. Pomiędzy drzewami przebłyskuje jasność i nagle z ciemnych ram lasu wynurza się żółtawe jezioro „Blade". Prawie czarne sylwetki sosen, bronz sieci rybackich, stanowią efektowny kontrast z cytrynową barwą płaskiej tafli wodnej.

Na drugi dzień wpływamy w Naroczankę. Otaczają nas wysokie trzciny i białe plamy kwiatów nenufaru. Nagle na zakręcie wysuwają się wśród sitowia klapiaste uszy wyżła, a zanim ukazuje się myśliwy polując na liczne tu kaczki. Węgrzy wykrzykują do niego, z najżyczliwszym z uśmiechów, wesołe powitania przeplatane najwyszukańszemi przekleństwami, co wywołuje ogólną wesołość wśród osób poinformowanych co do ich treści.

W małej wiosce nadbrzeżnej cała ludność wylega, aby nas zobaczyć; chłopi w płóciennych spodniach i bluzach przepasanych rzemieniem, kobiety w białych chusteczkach zawiązanych pod brodę, dziewczęta z mysiemi ogonkami jasnych warkoczyków, robią ciche uwagi o barwności pulowerów i czapek cudzoziemskich i bezceremonjalnie chichoczą z marynarskich spodni kobiet.

Pierwszy nocleg zdala od „kultury" jest jeszcze jednym powodem do młodzieńczej radości; owinięte w pledy zapadamy w pachnące, świeże siano; z drugiej stodoły słychać wesołe okrzyki „naszych chłopaczysków" zachwyconych miękką koniczyną.

W dalszej drodze Naroczanka kapryśnie skręca, dosłownie co kilka kroków. Jedziemy, jakby w wąwozie; nad naszemi głowami widać kępki drzew. Owce, pasące się na łąkach, pobekują na nasz widok; krowy wpatrują się wilgotnemi oczyma przeżuwając z powagą. Musimy bardzo uważać, gdyż niezmiernie silny prąd znosi nas na kamienie. Naturalnie, nie obeszło się bez wypadków. Zatrzymuje nas przeciągły gwizdek dyżurnego, jadącego na końcu. Okazało się, że „wysypała" się do wody Polka z Węgrem. Ot poprostu nieporozumienie językowe... nie znaleźli odpowiednich sportowych słów w... łacinie, którą się porozumiewali i... „odprawili nabożeństwo" w wodzie.

Zmoczone rzeczy prędko schną na słońcu; jest parno i duszno. Wyjeżdżamy na szersze i spokojniejsze wody. Otaczają nas wyniosłe, a urwiste wzgórza, pokryte czarnym lasem sosnowym. Nasze wesołe śpiewy cichną; jesteśmy wprost przytłumieni niespodziewanem pięknem krajobrazu.



Międzynarodowa osada

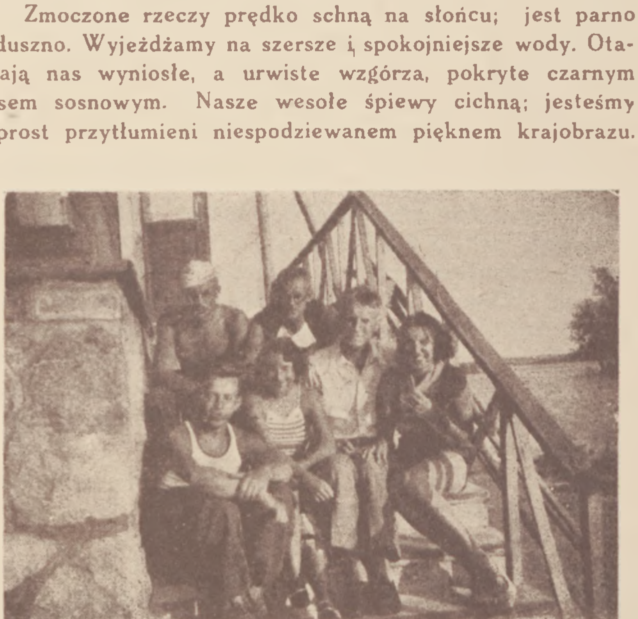
Składamy wiosła zaopatrzeni w biały dworek z ganeczkiem przytulony do lasu odcinającego się ciemną smugą od szaro-perłowych chmur.

Ciszę przerywa trzykrotny gwizdek kierownika spływu: „Uwaga! Przygotować się do deszczu!" Węgrzy podają dalszym kajakom zrozumiały już dla nich rozkaz, wyłamując sobie rozpaczliwie języki. Wyciągamy nieprzemakalne płaszcze, chowamy w głębi kajaków nasze rzeczy i wystawiamy opalone nosy pod strumienie ulewnego deszczu.

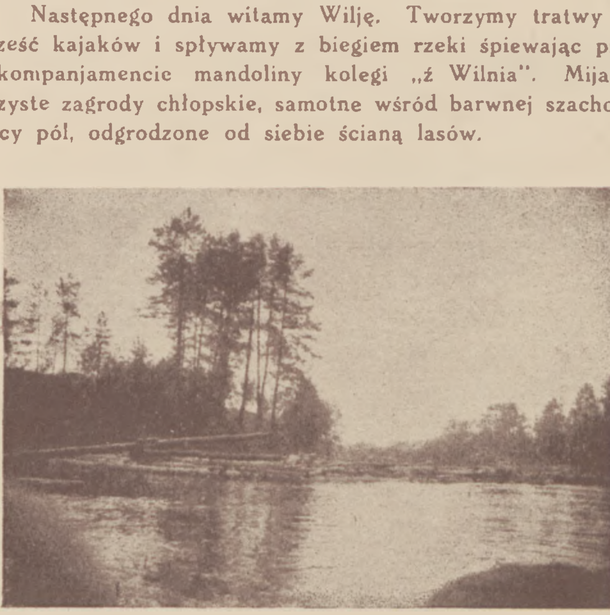
Pucołowaty księżyc obserwuje nas zpoza chmur; wieczór jest jasny i ciepły, powietrze rzeźkie po deszczu. Dobijamy do brzegu; przy ognisku, na drążkach suszymy nasze ubrania. Nad naszemi głowami zwisają gałęzie rozłożystego drzewa; zza ogniska prześwieca połyskliwa wstęga Naroczanki; na bieli piasku czernieją kajaki.

„Jaj jaj jaj a szirem..." śpiewają Węgrzy. Rozlega się zawodząca, lecz rytmiczna piosenka rumuńska. „Był sobie król, był sobie paź..." śpiewają za nami słowa ulubionej kołysanki wszyscy „międzynarodowcy".

Następnego dnia witamy Wilję. Tworzymy tratwy po sześć kajaków i spływamy z biegiem rzeki śpiewając przy akompanjamencie mandoliny kolegi „ź Wilnia". Mijamy czyste zagrody chłopskie, samotne wśród barwnej szachownicy pól, odgrodzone od siebie ścianą lasów.



Polki w otoczeniu Łotyszy



Tratwy na Wilji



Schronisko na Franciszkanach nad Naroczą

Daniuszew — to pierwszy nasz „cywilizowany" postój. Chłopcy niemiłosiernie „skrobią" sobie żyletkami „kajakowy" zarost, my robimy na gwałt „wodną ondulację" i przyklejamy kanty „galowych" spodni. Wprost nie wiemy, jak się ruszać w milutkich pokojach gościnnego dworu-pensjonatu. Po obiedzie urządzamy na miejscowym korcie mecz tenisowy „Katowice-Budapeszt". Wygrywa przemiły harcerz węgierski, który już zupełnie nieźle paple po polsku. Dajemy rewanż mieszkańcom dworu, przegrywając do nich partję siatkówki.

Na rynku miasteczka Michaliszki wywołujemy zbiegowisko. Cała „władza" w osobie... jednego policjanta musiała uwolnić nas od natręctwa pejsatych krzykaczy.

Miłych emocyj dostarczył nam przejazd przez słynne Biry wilejskie, których wartki prąd i ostre kamienie nie wyrządziły nam jednak żadnej krzywdy.

Ostatnim etapem naszej podróży był majątek Punżany. Wspinamy się po pochyłem zboczu i nagle zza zieleni wychyla się uroczy zakątek — biały dwór wsparty na kolumnach, typowy w okolicach Wilna, otacza ogródek z maleńkiemi ścieżynkami zbiegającemi aż do Wilji. Pachnące floksy i złociste geranje przytulają się do ganku; nad dworkiem czuwają wyniosłe drzewa; do zabudowań folwarcznych prowadzi cienista aleja grabowa. Oczarowani jesteśmy i prawdziwie staropolską gościnnością gospodarzy; na ich prośbę Węgrzy znowu śpiewają swe piosenki, zawierające tyle romantyzmu i żywiołości. Prawdziwą przyjemność sprawia nam widok długich stołów z zapalonemi świecami w kandelabrach, biel obrusów, kwiaty i to coś najważniejszego dla naszych apetytów...

Ostatniego dnia mijamy Werki. Zdala witają nas dzwony kościołków wileńskich i światła miasta. Lądujemy na przystani AZS-u.

Przebyliśmy w tydzień, jadąc wolno i zwiedzając okolice, około 350 klm.

Jeszcze dwa dni pobytu w Trokach i zakończenie kursu.

W przemowach pożegnalnych studentów cudzoziemców daje się odczuć szczery żal, że opuszczają już Polskę, którą już zdążyli pokochać, poznawszy jej piękno.

Rozstając się wiemy, że łączyć nas będą nietylko wspomnienia chwil mile spędzonych, ale i czerwona nić wzajemnego zrozumienia i obustronnej przyjaźni.

Opis. i fot *Marja Lehoczky*

Kajakowa pielgrzymka do Żelazowej Woli

Historyczny domek Szopena, w którym narodził się nasz największy Mistrz Tonów, wykupiony z rąk prywatnych i doprowadzony do stanu romantycznego i malowniczego zakątku nad rzeczką Utratą, oddawna pociągał mą wyobraźnię. Można go, coprawda, odwiedzić jak zwykłe... szczury lądowe pociągiem do Sochaczewa (stąd 9 km.) lub lepiej samochodem, bądź na innym jakim rowerze, ale ta zbyt prozaiczna marszruta nie dogadza mej żyłce... wędrowca wodnego. Pogoda tak piękna, mimo końca września...

Grzech siedzieć w dusznych murach, o ile kogo przymus tu nie trzyma!

I oto w pewien słoneczny czwartek załadowany po brzegi kajaczek, słynny „zdobywca Małego Morza", unosi nas wdół wezbranej po raz bodaj piąty w tym roku Wisły.

Orzeźwiająca kąpiel zaraz za Żoliborzem, powyżej „wonnego" wylotu Kolektora, musi wystarczyć na resztę dnia. Poniżej Bielan, niestety, aż po sam Modlin... ścieki kanalizacyjne uniemożliwiają rozkosze sportu pływackiego! Miga szparko wyniosłe bielańskie wzgórze, ciemna kępa lasów młocińskich, potem dalsze, dobrze znane, zakątki nadwiślańskie. Za Jabłonną zwały chmur, ukazujące się z NW zaczynają psuć nam cokolwiek humory, jak dotąd beztroskie i radosne. Żeglujemy przecież dalej... stopować można prawie co kilometr na dogodnych brzegach i kępach, a zawczesny nocleg zaraz w 1-ym etapie wyprawy, toć demoralizacja dla rozpróżniaczonej lądowemi wywczasami załogi. Dopiero więc koło samego Modlina „rozbijamy namioty". W samą porę... zaledwie na primusie zadymiły smakowite porcje owsianki, okraszonej zacną kiełbasą litewską, otwierają się upusty niebieskie. Noc całą „wyje wicher i szemrze ulewa", jak mawiają poeci.

Jednak namiot dzielnie stawia czoło klęskom elementarnym. Wewnątrz ciepło, sucho, przytulnie... chwilami za jasno od rozdzierających firmament błyskawic, chytry wynalazek, polecenia godny...

O świcie ulewa cichnie, ale potem znów sobie przypomina o nas. Ostatecznie wyruszamy skandalicznie późno... zgoła o 10-ej, czy nawet 11-ej! Przypomina mi to zeszłoroczną wyprawę na Gopło z bardzo silnym, a jeszcze więcej... leniwym kompasem. Kwitło wtedy próżniactwo i wszelka rozpusta, a etapy dzienne kurczyły się poniżej przyzwoitego minimum.

Drugi dzień pielgrzymki miał być wybitnie pechowy! Ledwie zniknęły baszty i skarpy Modlina — dzieła z woli wielkiego Korsykanina dźwigniętego przed laty w tym najważniejszym węźle hydrograficznym Polski, a zawsze, ze wzruszeniem mijanego czy to wodą, czy lądem — gdy typowe „nimbusy" (chmury deszczowe) zasępiły moje żeglarskie oko. Niebawem stwierdzam dotkliwie słuszność teorji meteorologicznej, zgłębionej przed kilku laty na morzu. Wstrętny kapuśniak siąpić poczyna z wszelkiemi cechami długotrwałości tego cennego dla rolników, a bardzo niemiłego dla wodniaków zjawiska atmosferycznego. W kajaku składanym zakłada się wtedy fartuch na cały kokpit, załoga zasie wdziewa nieprzemakalne wiatrówki i nawigu-

je jakby nigdy nic... Gorzej ze „sztywniakiem", pozbawionym fartucha!

Zarządzam: słabsza połowa załogi kładzie się w kokpicie i zakrywa namiotem, zostawiając na zawietrznej burcie „świetlik wentylacyjny", sam zaś kapitan, wydekoltowany do pasa (w braku zapomnianej wiatrówki!) i zakryty możliwie szczelnie od przodu namiotem, pracuje pilnie wiosełkiem.

Jest w ścisłym znaczeniu tego słowa: „mokro, zimno i do domu daleko", ale posuwamy się przecież naprzód. Zresztą stopować i rozstawiać namiot, byłoby również niemiło: zamoknięcie bagaży, a głównie „betów", czyli koców i worków do spania, grozi wtedy nieuchronnie. Trzeba to robić zawczasu, nim deszcz zacznie padać.

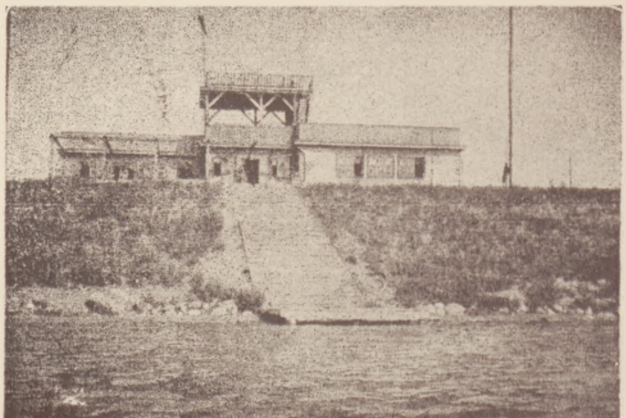
Żegluję tedy niczem przysłowiowa „mokra kura", mijając malownicze jary prawego brzegu Wisły poniżej Zakroczymia i zbliżając się do starożytnego Czerwińska. W pewnym okresie ulewnego deszczu zawijam do ujścia maleńkiej strugi, wpadającej tu skromnie we wzdęte powodzią wody Matki-Wisły. Stajemy tu bez kotwicy, trzymając się ręką nawpół-wyciągniętej na piasek pychówki, typowej łodzi ludu nadwiślańskiego. Namiot, eo ipso naciągam i sobie na głowę. Trwa to dobrą godzinę, dopóki bunt przeciwko wcielaniu w czyn przysłowia wschodnich braci-Słowian: „sidi u moria — żd (czekaj) pogody" nie powoduje w mej duszy chęci „odkotwiczenia" i moknięcia da capo... za cenę ruchu w kierunku operacyjnym ku ujściu Bzury.

„Bóg łaskaw na Mazury" — aczkolwiek słabsza połowa osady, to właściwie zawzięta Biruta, czy inna Grażyna, a ja również z Nowogrodzkiej Ziemi ród wywodzę, a na podlasiu światło dzienne ujrzałem. Dość, że na Mazowszu spotkała nas ta nieoczekiwana łaska Niebios: deszcz o jakiej 4-ej ustał!

Wznosząc pogańskie zgoła okrzyki na rzecz Apollina, boga słońca, który wyjechać oto raczył na swym złocistym rydwanie, mobilizuję „słabszą połowę". Zgodnym rytmem starając się nadrobić czas stracony. Prędzej na wody Bzury!

Niestety, krótkie dnie wrześniowe zmuszają nas do stopu na pięknej wyspie, tuż przed Wyszogrodem. Nawprost tego grodu, istotnie na wysokim brzegu rozsiadłego, wpada, jak wiadomo, skromna rzeka Bzura do Wisły.

Dopiero nazajutrz, w 3-im dniu wyprawy, przy rozkosznie grających blaskach porannego słonka mijamy jeden z najdłuższych naszych mostów wiślanych — wyszogrodzki i wpadamy na wody Bzury. Pomyślny NW pozwala postawić żagle. Za chwilę pomarańczowy grocik ($2^1/_2$ m. kw.), dobrze wypełniony wiatrem, ciągnie nas w górę rzeczki. Pomagam mu cały czas piórkiem. „Słabsza" odkłada wiosło i pilnuje szkotów.



Schronisko nad Naroczą Fot. M. Lehoczky

Wygodną nawigację dość jednostajnemi brzegami Bzury urozmaicają niekiedy wysepki zalesione na nurcie i pale licznych mostków, tempore belli tu stawianych. Pod wieczór mijamy na prawym brzegu (a naszym lewym trawersie) piękny kościół w Brochowie w stylu polskich zamków obronnych z XVII wieku. Nocleg na porytym okopami — z czasów wojny pozycyjnej nad Bzurą—lewym brzegu w dość rzadkim lasku, a raczej kępie topoli i wierzb płaczących.

Nam się na płacz nie zbiera...

Wykąpani — za dziś i wczoraj — wielokrotnie w czystym nurcie bzurzanym, po smakowitej wieczerzy wylegujemy się jak prawdziwe koczowniki przed namiotem.

Cudna noc księżycowa... srebrne smugi miesiąca na cichej tafli rzeki... niesamowite cienie drzew i krzaków kładą się dookoła... Zda się duchy wojowników germańskich czy rosyjskich, których mogiły sterczą wzdłuż obu brzegów Bzury, przemykają się cicho nad wodą.

Oto i sensacja. z prądem rzeki od Sochaczewa sunie szparko czwórka turystyczna. Miarowo śmigają biało-czerwone piórka, rytmicznie nachylają się i prężą torsy wioślarskie.

Pozdrowienia: „Czołem!" — krzyżują się w powietrzu.

To nasi sąsiedzi: klub „Wisła". Rozpoznajemy ich banderę na rufie.

Nasza (W. T .W.) powiewa dumnie nad namiotem.

Wstaje pogodny ranek niedzielny. Kres wędrówki niedaleki, ale trzeba dziś jeszcze spłynąć Utratą i Bzurą spowrotem do Wyszogrodu na nocny parowiec. Na poniedziałek terminowe sprawy wzywają załogę „Araksa" do Warszawy.

Więc po zwykłych porannych zabiegach tualetowych i kulinarnych: wiosła w garść i jazda do blizkich już wideł Bzury z Utratą. Mijamy niebawem wysoki komin wytwórni sztucznego jedwabiu w Chodakowie i nagle za jednym z zakrętów wyskakują nieoczekiwanie kontury... przystani sportowej na maleńkiej Bzurze. Miła niespodzianka, ani słowa!

Zaproszeni uprzejmie o wpisanie się do księgi gości, stopujemy przy pomoście. Schludny budynek przystani, schron na łodzie, nawet kąpielisko. Na maszcie łopocze bandera Ligi M. i K., jej to bowiem Oddział przy fabryce chodakowskiej wybudował sobie tę przystań.

Po chwili windujemy się pracowicie dalej, mijając malowniczą wyspę na korycie i wreszcie, coś koło 10-ej wpieramy nasz korab na ciche wody Utraty! Znam dobrze tę strugę z lat szkolnych, kiedy to się wakacje spędzało u rodziny w powiecie Błońskim i biegało ochoczo na odległą o parę kilometrów od dworu rzeczułkę. Tu nierównie okazalsza i bardziej malownicza! Wysoki brzeg prawy, a miejscami i lewy... romantyczne gaje olchowe... ciche wioski, nad wodą zadumane, a wszystko skąpane w promieniach wrześniowego słońca.

Trudne windowanie kajaka przez jaz młyński: patroszenie dziobu i rufy z bagaży i po chwili prujemy ciche tonie spiętrzonej i głębokiej tu rzeczki.

Na brzegu tablice: „Tereny Towarzystwa wędkarskiego"... Nie robię nigdy konkurencji amatorom wędki: zbyt ślamazarne to zajęcie dla ludzi, spragnionych ruchu na wiośle i zmagań z żywiołem.

Oto i cel podróży... domek Szopena! Obszerny teren, ogrodzony solidnym murem (wykupiony z rąk prywatnych za 40.000 ponoć złotych) z wielkim smakiem, acz może nieco w stylu dalekiej słonecznej Italji czy Francji południowej zamieniono na piękny ogród, tarasami zstępującemi ku rzeczce.

Egzotyczne krzewy i młode drzewka, alejki żwirowane, betonowe schodki o kilku stopniach, podzielone poziomemi płytami, a wszystko tonie wprost w kwiatach.

Siadamy na stopniach, pojąc dusze urokiem romantycznego zabytku.

Kwiaty pachną... jesień złoci już liście drzew i krzewów... słonko grzeje rozkosznie... jest dziwnie pięknie i dobrze....

„Trąbka" alarmowa zwołuje załogę do powrotnej drogi. Wpisujemy się do księgi, nabywamy żetony, znaczki pocztowe i karty z widokami Domku i z żalem opuszczamy to ciche ustronie...

Powrotna droga szybko schodzi, aż wreszcie o zmierzchu już gdzieś za Brochowem zwalniamy tempo, bacząc pilnie na sterczące gdzieniegdzie szczątki pali mostowych z lat 1914/15, wojny pozycyjnej nad Bzurą.

Dobrze już pociemku wypływamy na rozlane wody Wisły. Mży deszczyk, w oddali migocą światełka Wyszogrodu. Niestety, trzeba objeżdżać wielką wyspę poniżej miasta. Po dobrej godzinie pracowitej nawigacji nocnej dobijamy do przystani.

R. Niewiadomski

Planowanie wycieczek wodnych

Planując wycieczkę wodną musimy na jej wykonanie wybrać porę roku najodpowiedniejszą do tego rodzaju turystyki. W naszych warunkach klimatycznych włóczęga wodna połączona z campingiem możliwa jest przeważnie tylko od maja do września. Pewne niewielkie przesunięcia w tych terminach uzależnione są od specyficznego charakteru danego lata, t. j. od jego wcześniejszego czy późniejszego ocieplania się, od ilości opadów i od występowania poszczególnych okresów chłodu i deszczów. Również większe możliwości będą mieli wytrawni, doświadczeni turyści, którzy dzięki umiejętności przystowania się będą mogli obozować w namiocie nawet późną jesienią, czy wczesną wiosną. Naogół jednak do wypraw połączonych z campingiem lato nasze nadaje się dopiero od 15 maja. Do połowy maja tereny przybrzeżne są przeważnie jeszcze nasycone wilgocią wiosennych roztopów i obozowanie na takich gruntach w namiocie może być szkodliwe dla zdrowia. W dodatku tradycyjnie zimni święci Pankracy, Serwacy i Bonifacy zwykle psują nam pogodę bardzo dotkliwie.

Natomiast po 15 maja ziemia już dostatecznie obeschła z wiosennej wilgoci, dnie są wystarczająco długie i zaczyna się przeważnie ustalać letnia, ciepła pogoda.

Jeszcze bardziej zależna od kaprysów pogody jest długość okresu jesiennego. Niekiedy z całą przyjemnością i wygodą możemy campingować nawet w połowie października, o ile jest dostatecznie sucho i ciepło.

Jeżeli jednak mamy zamiar nocować nie w namiocie tylko w napotykanych po drodze osadach w oberżach, chałupach czy stodołach, to mamy pod tym względem możliwości znacznie większe. Możemy wtedy korzystać z naszych szlaków wodnych już od marca aż do późnej jesieni, o ile naturalnie będziemy posiadali odpowiednio ciepły ekwipunek.

Przeważnie jednak, jako szablonowy okres wycieczek wodnych należy uważać miesiące od maja do września i na te też miesiące musimy planować nasze wyprawy.

Decydując się na odbycie takiej wycieczki musimy przedewszystkiem ustalić dokąd chcemy i dokąd możemy jechać. Zależy to w dużym stopniu nietylko od ilości czasu, jaki mamy do rozporządzenia, ale i od naszej techniki i umiejętności jazdy i od osobistych upodobań turysty.

Początkujący kajakowiec nie powinien wybierać na swe pierwsze wyprawy szlaków, ani technicznie zbyt ciężkich jak rzeki górskie, ani najeżonych przeszkodami terenowemi w rodzaju tam, szluz, jazów i t. p. Nadmierne w stosunku do zaprawy trudności zatrują mu całą przyjemność niepotrzebnym mozołem, narażą go niekiedy nawet na ryzyko i raczej mogą odstręczyć i odstraszyć od turystyki wodnej. Rzeki Polski są naogół łagodne i dobrotliwe dla kajakowca. Za wyjątkiem może Czeremoszu nie mogą się porównać z dzikością takiego Innu, Wagu czy Rodanu. Nie mamy rzek aż tak dalece niebezpiecznych, żeby przy pewnej ostrożności i inteligencji jadącego groziły mu poważnem niebezpieczeństwem. Rzeki nasze nie są groźne, ale tem niemniej wymagają jednak pewnej elementarnej umiejętności panowania nad łodzią i orjentowania się w wodzie.

Dlatego też nowicjusz nie powinien wybierać na swój debiut Dunajca, Czeremoszu czy Oporu.

Dla nowicjuszy i tych co poszukują wygodnego spływu ma nasza Polska setki kilometrów rzek zupełnie łagodnych i pozbawionych wszelkich utrudnień, rzek, które nie zmęczą, nie odstraszą i nie grożą żadnem ryzykiem.

Mamy tu całą skalę stopniowych trudności. Łagodne i rozlewiste koryta rzek dużych, szluzy kanałów, moczary rzeczek bagnistych, labirynty rozlewisk Polesia, wreszcie jazy i szypoty rzek górskich. To też nasze zżycie się z wodą, nasze opanowanie łodzi i żywiołu musi nam decydować o wyborze tego czy innego szlaku .

Nie mniej ważne jest osobiste upodobanie turysty. A i tutaj też wody polskie dają każdemu pełnię wyboru.

Miłośnicy melancholijnej samotności mają do swej dyspozycji bagniste rozlewiska rzek i rzeczek Polesia. Malowniczy urok cudów wody pokażą nam nasze liczne jeziora, jak Augustowskie czy Brasławskie, Narocz czy Wigry. Walkę z żywiołem dadzą nam rzeki górskie. Dla amatorów stoi otworem nawet pobrzeże naszego Małego czy Wielkiego morza. Coprawda, morze nie nadaje się z powodu kaprysów wiatru i fali do ściśle wyliczonych terminowo i wykalkulowanych co do dnia wycieczek kajakiem. Czasami niespodziewana zmiana wiatru czy pogody, nagły wzrost fali może nam zupełnie pokrzyżować plany, zmuszając do długiego nieraz oczekiwania na lepsze warunki.

Jeżeli jednak możemy sobie pozwolić na beztroski camping, bez liczenia się z czasem, z dorywczą tylko jazdą przy odpowiedniej pogodzie, to właśnie morze, daje nam pełnię przepięknych i zupełnie specyficznych wrażeń.

Wybór wrażeń, jakie mamy przeżywać zależy od osobistego gustu i smaku jadącego. Dla każdego jednak gustu



Odpoczynek nad Wilją

Fot. M. Lehoczky

i dla każdego stopnia opanowania techniki kajakowej dają nam rzeki i jeziora Polski szerokie pole do wyboru.

To też radząc się przewodnika, rozpatrując się na mapach w zaznaczonych tam właściwościach terenu i rozpytując wśród doświadczonych wodniaków, staramy się wybrać szlak odpowiadający naszym możliwościom i upodobaniom.

W projektach naszych musimy też dostatecznie uwzględnić ilość czasu, jaką nam wolno poświęcić na wycieczkę.

Przy pierwszem, pobieżnem rozpatrywaniu przebiegu i właściwości tras wodnych wystarczy nam posiłkowanie się jakąkolwiek bardziej ogólną mapą terenu. Możemy korzystać z map wojewódzkich, map Tillingera 1:1.000.000, Touring Klubu, Romera i Wąsowicza 1:850.000, najlepiej jednak ze znakomitej mapy topograficznej Polski Romera 1:600.666[1]).

Gdyśmy już ogólnikowo określili cel naszej wyprawy i ustalili, gdzie chcemy i dokąd nam wolno jechać, należy bliżej zapoznać się z drogą, jaką mamy przed sobą, rozejrzeć się dokładnie w oczekującym nas szlaku.

W tym celu musimy przestudjować całą drogę na mapach już bardziej dokładnych, najlepiej na mapach sztabowych w skali 1:300.000. Ta skala map w zupełności wystarcza do wycieczek wodnych po dużych rzekach, jedynie w partjach jezior i małych rzeczek dla szczegółowego zorjentowania się konieczne są mapy dokładniejsze w skali 1:100.000.

Zaopatrzeni do pomocy w przewodnik i poszczególne opisy trasy, o ile takie ogłaszano, odczytujemy na mapach, jaki jest charakter terenu i właściwości mijanych brzegów, porównywując to z posiadanemi opisami.

Taka analiza szlaku jest dość ważna. Orjentując się w mapie sztabowej widzimy co nas czeka, przez jaką okolicę będziemy przejeżdżali i najlepiej możemy zdać sobie sprawę, czy nam to odpowiada.

Z mapy widzimy czy mijane brzegi są zalesione czy gołe, bagniste czy wysokie, czy rzeka kręci się w zatokach, czy okolica jest pagórkowata, czy też monotonnie płaska. Musimy się zgóry liczyć z tem, że brzegi oznaczone bagnami czy bezleśnemi równinami będą mniej malownicze. Rzeczki bardzo silnie kręcące się wśród niskich brzegów są przeważnie monotonne i bagniste. Więcej malownicze będą brzegi otoczone warstwicami wzgórz i zielenią lasów. Na mapie odczytujemy, jakie i gdzie będziemy mieli po drodze punkty orjentacyjne: osady, mosty, szluzy; gdzie i jakie napotkamy przeszkody w postaci tam, szluz, zastaw przy młynach czy tartakach.

Na podstawie również mapy, przy pomocy rozkładu kolejowego ustalamy punkty, gdzie, kiedy i jak musimy dojechać koleją czy autobusem. Wybierając połączenia starajmy się unikać przesiadania się. Jest to zwykle kłopotliwe przy dużym bagażu i naraża nas na większe koszty. Ustalamy dalej skąd i dokąd musimy podjechać od kolei do wody i czem podjechać autem czy końmi, w jakim punkcie będziemy składali łódź i rozpoczynali właściwą wędrówkę.

Sam wyjazd z naszej stałej bazy najlepiej planować na wieczór, tak, aby nie tracić niepotrzebnie dnia na dojazd do miejsca, z którego zaczniemy jazdę wodą. Konieczną jazdę koleją czy statkiem lepiej odbyć w ciągu nocy. Oszczędzamy przez to dzień.

Następnie musimy ustalić dokąd dojedziemy, jako do ostatniego punktu jazdy wodą, w jaki sposób i w jakich godzinach mamy tam połączenie z linjami kolejowemi, autobusami czy statkiem. Wyznaczamy, jakie połączenie byłoby dla nas najwygodniejsze i w jakiej porze dnia należałoby zakończyć jazdę wodą i pakować rzeczy do powrotu tak, żeby nie tracić napróżno czasu, ale i nie spóźnić się.

Przy okazji nie zaszkodzi zorjentować się, w jakich punktach szlaku wrazie nagłej konieczności moglibyśmy przerwać wycieczkę i w jaki sposób wracać wtedy do domu. Wszystkie te szczegóły są przy planowaniu wycieczki b. ważne i nie należy ich bagatelizować. W dobrze zorganizowanej wyprawie powinno być wszystko przewidziane i wyliczone.

Ustaliwszy w ten sposób ostatecznie już trasę i punkty wyjściowe wycieczki, musimy nasz szlak podzielić na pewne mniej więcej zgóry określone etapy dziennie. Nie silmy się jednak na przesadnie ścisłe wyznaczanie przyszłych punktów postojowych, do których mielibyśmy się potem pedantycznie stosować. Mijałoby się to z główną zaletą wodnej turystyki, z jej beztroską i swobodą i byłoby bezcelowem krępowaniem się na wycieczce. Nie jest to tak wielkie zmartwienie na dłuższej wyprawie, jeżeli pocztę czy zaprowiantowanie w danem miasteczku załatwimy nie rano, tylko po obiedzie. Może nas zresztą wstrzymać nietylko przygoda lub deszcz, ale i własne rozleniwienie i piękno krajobrazu. To też określamy etapy w przybliżeniu.

Poszczególne postoje wyznaczamy też mniej więcej i w takich okolicach, w których brzegi oznaczone są na mapie, jako zalesione czy pagórkowate, a nie płaskie i bagniste.

Długość poszczególnych etapów musimy uzależnić od naszych sił i od właściwości samej trasy. Przeciętnie należy obliczać od 30 do 50 km. lub 6 do 7 godzin jazdy dziennie. W ogólnem rozplanowaniu należy zawsze zostawić 1—3 dni, w zależności od długości wycieczki, wolne, jako dni zapasowe na wszelki wypadek.

Również i samą drogę, jeżeli nam się specjalnie nie śpieszy, obliczajmy lepiej w skromniejszych porcjach dziennych i na większą ilość dni. Na takiej kalkulacji, robionej jednak bez krańcowej przesady, nigdy nie tracimy. Wycieczki nie są regatami. A pewien nadmiar czasu da nam możność dłuższego rozkoszowania się urokiem wodnej włóczęgi czy campingu, pozwoli nam lepiej ocenić piękno krajobrazu i bliżej zżyć się z przyrodą. Wyznaczanie zgóry etapów zbyt dużych może nas zmusić do niepotrzebnego „gnania" i narazić w razie niepogody czy nieprzewidzianych przygód na przykre opóźnienie powrotu.

Wreszcie szczegół b. ważny, to dobór i ilość towarzystwa.

Najprzyjemniej jest jeździć w 2 najwyżej 3 dwuosobowe kajaki. Większe ilości łodzi stwarzają nastrój tłumny i zgiełkliwy, psując tem jeden z głównych uroków tych wypraw. Trudniej też przy większej ilości ludzi dobrać towa-



Żaglówką po jeziorze Trockiem
Fot. M. Lehoczky

[1]) Znakomita ta mapa powinnaby wisieć na ścianach każdego klubu wioślarskiego, którego członkowie uprawiają turystykę wodną. Dzięki dobrej skali nadaje się doskonale do ogólnej orjentacji w szlakach wodnych.

rzystwo wzajemnie zgrane i dopasowane. To też lepiej nie zbierać kompanji zbyt licznej.

Zupełnie natomiast dobrze będziemy się czuli, jadąc tylko jednym dwuosobowym kajakiem. Towarzysko wystarczy to w zupełności, a warunki bezpieczeństwa pozwalają jeździć teraz nawet w pojedynkę. Starajmy się dobierać towarzystwo dopasowane do siebie zarówno intelektualnie, jak i usposobieniem i upodobaniami. Niedobrana kompanja może zatruć całą przyjemność wycieczki. Ważne też jest, żeby był z nami ktoś bardziej wytrawny i otrzaskany z tego rodzaju turystyką. Powinno na tem zależeć specjalnie nowicjuszom.

Przestrzec należy przed szykowaniem wycieczek w formie zupełnie zbiorowej, z wspólnemi zakupami, wspólnym skarbem, z tak zwanymi gospodarzami, skarbnikami, naukowcami i t. p. podziałem. Są to sytuacje możliwe tylko na terenie skautowskich drużyn, czy bardziej zgranych kółek młodzieży. Na innym terenie indywidualizm jednostek zamienia cały piękny plan w kwasy i nieporozumienia. Przeciwnie. Dążyć należy do tego nawet w zbiorowych wycieczkach, żeby każda łódź była całkowicie samowystarczalnem gospodarstwem. Jest to dobre nie tylko z powodu różnic gustów, upodobań, i przyzwyczajeń, ale i na wypadek przygody czy zabłąkania się. Ma wtedy każda osada, każda łódź zupełnie zabezpieczone warunki urządzenia się i zaprowiantowania. To też dalsze nasze rozważania będziemy prowadzili pod kątem widzenia jednej tylko dwuosobowej, całkowicie gospodarczo samodzielnej osady. Taka jednostka jest typowa dla włóczęgi wodnej i nawet wycieczki zbiorowe powinny być tylko wielokrotnością tego jedynie racjonalnego na wodzie typu wypraw.

Jeżeli po drodze przejeżdżamy koło jakiegoś ciekawego historycznie czy krajoznawczo miejsca powinniśmy uwzględnić czas potrzebny na jego zwiedzanie. Wyliczajmy jednak tak, żeby na taką lądową wycieczkę przyjeżdżać rano po campingu i żeby na wieczór odjeżdżać dalej na obóz. Pamiętajmy o tem, że nocleg w namiocie kalkuluje się taniej niż w dusznym hotelu czy schronisku. A wogóle żaden hotel ani zajazd nie da nam tej swobody i przyjemności, co nocleg w namiocie.

Wreszcie słów parę o wycieczkach „z wody na wodę".

Są to bardzo miłe wyprawy, dające dużą różnorodność wrażeń, pouczające i ciekawe. Musimy się na nich jednak liczyć z koniecznością parorazowego pakowania i rozpakowywania rzeczy i łodzi i z wynikającym z tego powodu niejakim kłopotem, a przedewszystkiem ze znacznie większym kosztem takich marszrut. Wybierając się na taką wyprawę układajmy połączenia lądowe możliwie najtkrótsze, o łatwej lokomocji. Starajmy się wtedy naszą trasę urozmaicić, wybierając na zmianę kolejno różne rodzaje wód, jak rzeki duże, jeziora, rzeczki małe, czy wreszcie prowadząc trasę choćby przez różne rodzaje terenów. Planujmy wreszcie tak, żeby pakowanie i przewożenie nie zdarzało się zbyt często i zbyt gęsto. Źle uplanowana wycieczka z wody na wodę może się zamienić w niepotrzebną mordownię.

Dr. K. Klein

Mizerny sezon

Sezon pływacki r. 1934 należy niewątpliwie do najbardziej nieudanych. Wiele złożyło się na to przyczyn, że nasz sport pływacki zatrzymał się w miejscu. Niewątpliwie najważniejszą jest to, że młodzież szkolna nie ma możności (poza nielicznemi wyjątkami) uprawiania pływania w sposób zawodniczy i nie ma kierunku sportowych trenerów, a jedynie w najlepszym razie nauczycieli pływania.

Sport ten ma tę właściwość, że wyniki na poziomie światowym uzyskać w nim można tylko pod warunkiem rozpoczęcia intensywnego i systematycznego treningu s p o r t o w e g o nie później, jak w jakim 14—16 roku życia. Na ostatnich mistrzostwach Europy w Magdeburgu przecież w zwycięskiej sztafecie kobiecej Holandji najstarszą była Den Ouden, która liczyła sobie... niespełna lat 16!

Doszliśmy już w Polsce do tego poziomu, przy którym dalsze postępy nie są łatwe. Na to, by bić rekordy Bocheńskiego, Karliczka, Szrajbmana, czy nawet Kratochwilówny trzeba łączyć w sobie talent, pracowitość, dobre warunki, i jako czwarty nieodzowny czynnik, rozpoczęcie pracy sportowej za młodu.

Pewnikiem jest więc, że dopóki młodzież szkolna nie będzie u nas za przykładem Japonji, Ameryki, Węgier czy Niemiec, uprawiać sportu pływackiego masowo, dopóki nasi zawodnicy rekrutować się będą wyłącznie z ludzi, którzy rozpoczęli trening po maturze, dopóty stać będziemy na martwym punkcie.

Drugim czynnikiem, wydatnie hamującym rozwój pływania sportowego w Polsce, jest brak kontaktu z zagranicą. Trzeba przyznać, że pod względem geograficznym mamy sytuację fatalną. Najbliżsi sąsiedzi — to Niemcy i Węgrzy, których poziom o tyle wyższy od naszego, iż o rywalizacji z nimi marzyć, przynajmniej chwilowo, nie możemy. Jeżeli chodzi o Niemców, to kontakt z nimi utrudnia jeszcze bojkot ze strony żydów, a przecież wszelkie zawody pływackie w konkurencji międzynarodowej i tak są deficytowe, więc zrozumiałem jest, że nikt z organizatorów nie ma ochoty zwiększać deficytu przez wyrzekanie się obecności publiczności żydowskiej.

Druga grupa naszych sąsiadów — to Rumunja, Łotwa, Estonja. Z tymi znów niema co nawiązywać kontaktu, gdyż są za słabi. O ile wogóle sport pływacki u nich egzystuje. Istnieje jeszcze jeden sąsiad, który pod względem sportowym jest nam mniej więcej równy, i „kasowo" byłby zawsze przeciwnikiem pożądanym — to Sowiety. Tu znów stoi na przeszkodzie z jednej strony nieprzejednane do tej pory stanowisko Kominternu, który ze sportem burżuazyjnym nie chce utrzymywać kontaktu, i niemniej nieprzejednane stanowisko Międzynarodowej Federacji Pływackiej, która nie chce udzielić Polsce pozwolenia na zawody z Sowietami, dopóki nie będą one do niej należeć. Pozostaje nam zatem jeden tylko przeciwnik — Czechosłowacja. Ten i siłami nam odpowiada, i warunki finansowe ma dogodne, i stosunki zawsze utrzymywaliśmy bardzo przyjazne, ale stwierdzić trzeba, że rywalizacja stale z jednym i tym samym przeciwnikiem, start zawsze tych samych zawodników, których znamy już na wylot, nie są specjalnie interesujące. Nadomiar złego nieszczęsna historja z zerwaniem stosunków sportowych z Czechosłowacją, nie pozwoliła Polskiemu Związkowi Pływackiemu na urządzenie jedynego w roku, zakontraktowanego oddawna meczu międzynarodowego.

Tym sposobem ogół pływaków polskich z zagranicą kontaktu nie miał żadnego. Wyłomem był tylko wyjazd czwórki sztafety 4×200 m. st. dow. na Mistrzostwa Europy do Magdeburga. Na to jednak, by wysłać tę reprezentację, najskromniejszą ze skromnych, do kraju bliskiego, do-

kąd droga nie jest wcale kosztowna, trzeba było wprost nadludzkich wysiłków. Wszelka próba wysłania zawodnika polskiego zagranicę, jeżeli nie jest to Kusociński, Walasiewiczówna, względnie jeżeli nie są to specjalnie uprzywilejowani tennisiści lub szermierze, spotyka się z energiczną kontrakcją zarówno Związku Związków, jak i władz państwowych.

Nasz występ w Magdeburgu ani nie był udany, ani specjalnie nieudany. Pechem, i to pechem w całem tego słowa znaczeniu, było nie to, że nasi pływacy zrobili czasy gorsze, niż zazwyczaj, lecz to, że wszyscy słabsi od nas przeciwnicy, zgłoszeni do konkurencji, wycofali się z zawodów. Ze zgłoszonych drużyn do sztafety 4×200 m. wycofały się Czechosłowacja, Jugosławja i Szwecja, których zawodnicy byli obecni w Magdeburgu, i Grecja, która nikogo na mistrzostwa nie przysłała. Były to wszystko drużyny, które wywczas napewno pokonalibyśmy (gdyby były w dobrej formie, startowałyby niechybnie, skoro były na miejscu), i w ten sposób, nasza sztafeta będąc siódmą, pozostawiłaby za sobą tylko Hiszpanję; wskutek wycofania się aż 4 zespołów, o tyle zmniejszyła się liczba pokonanych.

Bocheński przyszedł na szóstem miejscu finałowem, na 21 zgłoszonych i 16 startujących zawodników. Wynik ten, jak na jego warunki pracy (Bocheński odbywał w tym czasie służbę wojskową) jest zupełnie zadawalający. Katastrofalnie wypadł tylko start Karliczka, który nietylko był ostatnim na 100 m. nawznak, ale ponadto zrobił fatalny czas (1:18) gorszy o 3 sek. od swego wyniku normalnego, czas, którego nie robił w poważnych zawodach od czasów niepamiętnych.



P. Flourens objaśnia austrjackiej pływaczce i rekordzistce kanału La Manche p. Fater wiosło - piłkę, posiłkując się którym p. Flourens zamierza przepłynąć kanał, tam i spowrotem

Jasnym punktem sportowym w szarym sezonie 1934 r. był start paru naszych pływaków w Bytomiu we wrześniu. Zawody były niezbyt wielkie — gdyż obejmowały tylko zawodników polskich, i zawodników z niemieckiego Śląska (Górnego i Dolnego), ale zato mieliśmy tam dwa pierwsze miejsca (Karliczek na 100 m. nawznak i Szrajbman II na 200 m. st. klas), pozatem na 100 m. st. dowolnym Szwankowski i Szrajbman. I zajęli miejsca drugie i trzecie. Jakże charakterystycznem jest, że nawet ten, tak udany wyjazd spotkał się początkowo z pewną opozycją i niechęcią Związku Związków, gdzie „miarodajny czynnik" zgóry wiedział, że wyniki muszą być „kompromitujące"...

Wogóle obawa „kompromitacji" zarówno w prasie polskiej, jak i w sferach kierowniczych naszego sportu, jak i wreszcie u jeszcze wyższych czynników, zaczyna przyjmować chwilami rozmiary wręcz niepokojące. Polska, która w świecie sportowym międzynarodowym jest mimo wszystko nowicjuszem, chce mieć aspiracje potęgi sportowej, i boi się kompromitacji tam wszędzie, gdzie przeciwnik jest tak silny, iż przegrana z nim nie przerażałaby przedstawicieli Ameryki, Niemiec czy Anglji. Rozmawiałem w tej sprawie z pewnym urzędnikiem, mającym decydujący wpływ na te sprawy, i okazało się, że uważa on dalsze miejsce jak... trzecie w mistrzostwach Europy za kompromitację! Przecież przy takich poglądach żadne zawody w świecie nie mogłyby się odbyć. Zawsze ktoś musi przegrać, samych wygrywających nie było nigdy. Gdyby wszystkie państwa miały tak chorobliwie rozwiniętą manję prestige'ową, jak my — należałoby sport zlikwidować w świecie momentalnie, gdyż nikt nie mógłby się narażać na „kompromitację".

Nie dalej, jak 10 lat temu byliśmy jeszcze w przedpokoju międzynarodowego świata sportowego. Sporadycznie trafiały nam się jakieś sukcesiki wątpliwego znaczenia. Od tego czasu wiele się poprawiło, ale też uderzyło nam to do głowy. Trzeba troszkę otrzeźwieć, trzeba zdać sobie sprawę wreszcie, że kompromitacja zachodzi tylko wówczas, gdy wysyłamy na wielkie zawody drużyny zopełnie nieprzygotowane, gdy wystawiamy zawodników, którzy nie mogą w najmniejszym stopniu stawić czoła przeciwnikom. Jeżeli tylko nasi zawodnicy walczą, i przegrywają na mecie, choćby nawet na szóstem czy siódmem miejscu —kompromitacji niema. Dla przykładu przytoczę Czechów, którzy co roku przynajmniej dwa razy rozgrywają m i ę d z y p a ń s t w o w y mecz ze swymi śmiertelnymi wrogami — Węgrami — w piłce wodnej, mimo, że zawsze przegrywają po 8—10 do zera. Kompromitacji Republiki się nie boją, wiedzą, że nato, żeby się czegoś nauczyć, trzeba stale walczyć z silniejszym przeciwnikiem.

Przez tę chorobliwą obawę o prestige — nietylko sportu polskiego, ale wogóle Państwa Polskiego (co za śmieszna przesada!), kwestja kontaktu naszego pływactwa z zagranicą weszła w błędne koło. Nie pozwalają tego kontaktu utrzymywać, bo wyniki są niedostateczne. A wyniki są coraz gorsze, bo brak jest zawodnikom najpoważniejszego bodźca do pracy, jakim jest zapowiedź walki z silnym przeciwnikiem zagranicznym.

Nigdy konkurencja krajowa nie daje zawodnikowi tak silnej podniety do pracy, jak zagraniczna. A pływanie należy do sportów, wymagających treningu długiego i mozolnego. Nawet najpracowitszy zawodnik będzie się zaniedbywał, jeżeli nie będzie miał odpowiednio silnego dopingu. A naszym pływakom niestety, podnietę taką daje się najwyżej raz do roku..

PZP. zamierzał urządzić mecz Międzypaństwowy z Austrją w pięknej pływalni krytej, wybudowanej przez Zarząd Miejski we Lwowie. Mecz odbędzie się jednak w terminie nieco późniejszym, niż początkowo przewidywano (2—3 luty 1933). Będzie to moment zwrotny w dziejach naszego pływactwa, gdyż nareszcie zdobędziemy się na po-

ważną imprezę zimą, nareszcie zmusimy nasze kluby i zawodników do intensywnej pracy w ciągu dwuch sezonów w roku. Może to da pewną poprawę.

* * *

Przez szereg lat w sporcie polskim wogóle, a w pływackim w szczególności królowało hasło „przez ilość do jakości". Próbowano nam wmówić, że wielka liczba zawodników, da nam poprawę wyników, praca „wszerz" — da wyniki na „górze". Po paru latach moglibyśmy się przekonać, jak bałamutne jest to hasło. Liczba zawodników zwiększa się stale, i to bardzo wydatnie. Cieszymy się z tego ogromnie. Ale widzimy doskonale, że na wyniki czoła niema to żadnego wpływu. Z kolei zaczyna teraz dochodzić do głosu hasło przeciwne: „przez jakoś do ilości". Musimy, przedewszystkiem, dbać, by wszelkiemi środkami, jakie są do naszej dyspozycji, podnieść wyniki zawodników czołowych. Gdy to osiągniemy, zdobędziemy dla sportu pływackiego popularność, zdobędziemy widzów, a co za tem idzie środki finansowe, zdobędziemy nowych adeptów.

Trzeba przejść od pracy wszerz do pracy wzwyż. Jeżeli weźmiemy się do pracy w tym kierunku, na rezultaty zarówno w zakresie podniesienia poziomu czołowego, jak i popularyzacji pływania nie będziemy długo czekać.

Tadeusz Semadeni

Zawody pływackie w Krakowie

Poraz drugi w ciągu bieżącego sezonu zimowego zorganizowała YMCA w dniu 25 listopada r. b. zawody, tym razem o puhar pomiędzy działem starszych a młodszych. Zwycięstwo osiągnęli pływacy działu starszych, wśród których znajdowali się pływacy tej miary, jak Kot, Rachniowski, Szelest i inni. W skład programu wchodziły także biegi pań i junjorów, będące poza nawiasem konkurencji meczu. Organizacja zawodów sprawna. Zainteresowanie zawodami duże. Wyniki były nast.:

100 m. dow. panów: 1) Paszkot (Cr) 1.14, 2) Rachniowski (YMCA) 1:14,2, 3) Zguda (YMCA).

100 m. nawznak: 1) Włodek (YMCA), 2) Szelest (Cr) 1.35.4, 3) Moskała (YMCA).

200 m. dow.: 1) Kot (Cr.) 2.39,7, 2) Japołł (YMCA) 30.07, 3) Kobylański.

100 m. klas.: 1)Bogdani (YMCA) 1.32.5, 2) Gryglewski (YMCA) 1.46, 3) Japołł (YMCA).

4×100 m. dow.: 1) Dział starszych 5.15 w składzie Kot, Szelest, Rachniowski, Czermak, 2) Dział młodszych 5.23.9, 3) Dział starszych II.

Skoki z trampoliny: 1) Głąb (YMCA) 39 p., 2) Beniowski (YMCA) 34.6 p., 3) Ochalski (YMCA).

3×50 stylem zmien.: 1) Dział starszych 1.56.1 w składzie: Kot, Bogdani, Włodek, 2) Dział młodszych 2.02 p.

50 m. nawznak pań: 1) Lubieńska (Cr.) 56.2, 2) Lubelska (YMCA) 1.02.4.

50 m. dow.: chłopców: 1) Grzymiński 41, 2) Pietruczak 42.

5×50 m. dow. panów: 1) Dział starszych 2.51, 2) Dział młodszych 2.54, 3) Dział starszych.

50 m. klas. pań: 1) Lubelska 50.4, 2) Lubelska II 1.01.

Nowy rekord pływacki świata

W ramach dwudniowych międzynarodowych zawodów pływackich w Düsseldorfie pływaczka holenderska Rita Mastenbroek ustanowiła nowy rekord światowy na dystansie 100 m. nawznak w czasie 1:16,8.

Dotychczasowy rekord wynosił 1:18,2 i należał do zawodniczki E. Holm (Ameryka).

Na tych samych zawodach ustalono również nowy rekord europejski na dystansie 200 m. nawznak dla panów. Nowym rekordzistą jest Niemiec Simons, który przepłynął ten dystans w czasie 2:38.3.

Warszawskie pływalnie zimowe

W Warszawie obecnie istnieją cztery kryte baseny pływackie: basen w Domu Akademickim, w Oficerskim Yacht-Klubie, Ubezpieczalni Społecznej na Wolskiej i w gimnazjum im. Batorego na Myśliwieckiej. Wszystkie pływalnie są już czynne.

Najwcześniej otwarła swoje podwoje pływalnia Ubezpieczalni Społecznej (ul. Wolska 52), bo już 20 sierpnia. Wówczas funkcjonowała ona tylko częściowo, bo popołudniu, dziś już cały dzień bez przerwy. Wstęp dla ubezpieczonych po niskich cenach, dla nieubezpieczonych nieco wyższy. Z pływalni tej korzysta cały szereg klubów sportowych, organizacyj, a przedewszystkiem szkół. Pozatem organizowane są kursy pod kierunkiem znanego pływaka Kaputka, a dla płci pięknej pod kierunkiem p. Pawskiej.

Pływalnia Oficerskiego Yacht Klubu (Wybrzeże Kościuszkowskie, obok mostu Poniatowskiego), jest dostępna przedewszystkiem dla członków, a potem dla członków klubów, będących w kontakcie z właścicielem pływalni.

Dom Akademicki otworzył podwoje swojego basenu 5 listopada i jest dostępny dla wszystkich po uprzedniem zbadaniu lekarskiem. Pływalnia czynna jest od godz. 11 rano do 10 wieczorem, a więc korzystać z niej można nawet po pracy fabrycznej czy biurowej.

Ostatnim zimowym przybytkiem pływania jest pływalnia gimnazjum państwowego im. Batorego (ul. Zieleniecka), która tymczasowo dostępna jest tylko dla uczniów tej szkoły. Ci chociaż w całej pełni korzystać mogą z tego zdrowego sportu pod fachowem i opiekuńczem okiem profesora. Jakie wyniki daje własna pływalnia świadczy fakt, że przeszło 80 proc. uczniów tej szkoły znakomicie pływa, a na ostatnich zawodach międzyszkolnych na 300 zgłoszonych z wszystkich szkół — „Batorzaków" była prawie setka.



Jacht „Bitka" na jez. Kiekrzu

Polski Związek Żeglarski

Warszawa, Al. Jerozolimskie 3 m. 13

Komunikat.

Poranek filmowy żeglarski. W dniu 2 grudnia 1934 roku o godz. 13-ej w sali kina Miejskiego — ul. Hipoteczna 3 (dawny teatr Bogusławskiego) zostanie wyświetlony film żeglarski p. t. „Na falach Bałtyku", oraz inne aktualności. Z uwagi na charakter propagandowy filmu i jego artystyczne walory — zwracamy się z gorącym apelem do członków klubów zrzeszonych oraz pokrewnych stowarzyszeń o liczne przybycie.

Bilety można nabywać w sekretarjacie Związku w cenie:

1 zł. dla dorosłych, 50 gr. na parter i 25 gr. na I piętro dla uczącej młodzieży.

Kurs teoretyczny wiedzy żeglarskiej Wzorem lat ubiegłych w r. b. zostają zorganizowane jedenaste doroczne kursy teoretyczne wiedzy żeglarskiej. Początek wykładów w dniu 28 listopada r. b., o godz. 18-ej w gmachu gimnazjum im. Reja — pl. Małachowskiego. Zapisy na miejscu. Będą prowadzone dwie grupy dla początkujących w zakresie śródlądowym i dla zaawansowanych — w zakresie morskim.

Zawieszenie w prawach członka związku. Uchwałą z dnia 24 września 1934 r. został zawieszony w prawach członkowskich Polskiego Związku Żegl. Yacht-Klub Akademickiego Związku Sportowego Warszawa za zaleganie składek za lata ubiegłe.

Projekt nowych przepisów budowlanych. Stosownie do uchwały Sejmiku Żeglarskiego z dnia 28 stycznia 1934 roku podajemy projekt przepisów budowlanych joli mieczowej skośnodennej klasy „Z" (10 mtr.[1]).

Przepisy budowlane.

Jole skośnodenne. Klasa „Z".

Typ. 1. Klasa „Z" obejmuje jole turystyczne „skośnodenne" — o przekroju poprzecznym dna w kształcie litery V, o powierzchni żagla 10 m.².

2. Klasyfikowane mogą być w tej klasie tylko bezbalastowe jole mieczowe. Niedopuszczalne są katamarany i podobne konstrukcje, jole z wgłębionemi formami dna, przednią pawężą i sterami balastowemi, bocznemi podwójnemi i wsuwanemi.

Zasadnicze wymiary w mm. 1. Największa szerokość (bez listewek ochronnych) najmniej 1430.

2. Szerokość: a) na 1/5 długości od dziobu w stosunku do największej szerokości, najmniej 50%.

b) jak wyżej, od rufy 90%.

3. Największa szerokość „L. W." najmniej 1000.

4. Najmniejsza wysokość burty nad wodą 320.

5. Wysokość burty nad wodą na sztabie, mierzona od pokładu, najmniej 450.

6. Pokrycie pokładem najmniej 0.4 całkowitej długości.

7. Szerokość pokładu na bokach kokpitu najmniej 165.

Opis konstrukcji, materjał i wymiary poszczególnych części konstrukcji. 1. Kil z dębu, składający się najwyżej z z 2-ch części. Przekrój w obrębie skrzynki mieczowej, najmniej 100 × 30

przekrój na rufie, najmniej 70 × 30

przekrój na dziobie, najmniej 50 × 30.

2. Sztaba z dębu, znitowana z kilem bezpośrednio lub połączona z nim śrubami lub nitami zapomocą dębowego kolanka.

Przekrój sztaby u góry najmniej 50 × 80.

Grubość kolanka najmniej 30.

3. Pawęż z dębu, sosny lub gabunu, zmocowana nitami lub śrubami z kilem zapomocą dębowego kolanka, grubość pawęży 20.

Uwaga: pawęż z sosny lub gabunu winna posiadać na obwodzie ramkę z dębu o przekroju 20 × 40.

4. Klepki z sosny lub gabunu; grubość najmniej 12. na dnie łodzi najmniej 3 klepki, na burcie 2 klepki z każdej strony.

5. Żebra z dębu, grubości najmniej 12,
szerokość u góry (mierzona od poszycia) 40,
szerokość u dołu (mierzona od poszycia) 80,
rozstawienie 365.

U góry żebra znitowane z beleczkami pokładowemi lub wspornikami, — u dołu z wręgami.

6. Wręgi z dębu, z jednego kawałka zmocowane z kilem, klepkami żebrami. Grubość najmniej 12.

Wysokość wraz z listwą przy burcie 45.

Wysokość nad kilem najniższej wręgi 60.

7. Kilson z dębu ułożony płasko na wręgach i z niemi zmocowany, lub na sztorc na kilu i wręgach zmocowany z wręgami, kilem i skrzynką mieczową. Długość kilsona najmniej 1000.

8. Podciąg górny z dębu lub sosny, przekrój dla dębu 36 × 12.

przekrój dla sosny 45 × 20.

9. Listwa na załamaniu z dębu trójkątna lub prostokątna, długość krótszych boków dla listwy trójk. 40×40.
ditto dla prostokątnej 40×20.

10. Pokład a) z dowolnego materjału drzewnego grubości najmniej 10.

b) z dykty wodnoodpornej bakielitowej. Grubość nie mniej 6.

11. Beleczki pokładowe znitowane z żebrami naj-



Fragment regat żeglarskich w Kilonji — Niemcy

mniejszy przekrój dla dębu 36×12,
dla sosny 50×18.

12. Beleczki pokładowe przy maszcie:

a) przekrój przy 2-ch belkach mierzony przy burcie jednej, dla dębu 40, dla sosny 50×18, lub

b) przekrój przy jednej belce mierzony przy burcie dla dębu 40 × 30.

Uwaga: przy konstrukcji lit. b) należy przy burcie umieścić pionowo dębowe kolanko grubości 15.

13. Wsporniki pokładowe dębowe umieszczone; co druga beleczka w obrębie kokpitu, przekrój 25 × 14.

Uwaga: zamiast wsporników pokładowych, można dać beleczki pokładowe (poz. 12) w kształcie wsporników o grubości 12.
i wysokości pionowego ramienia 120.

Za wsporniki mogą być uważane również żebra o odpowiednim kształcie.

14. Kolanka poziome umieszczone przy pawęży oraz przy beleczkach pokładowych przymasztowych grubości z dębu najmniej 20.

15. Skrzynka mieczowa z dębu do wysokości najmniej 200 nad kilem. wyżej może być z sosny lub gabunu.

Skrzynka winna być połączona z wręgami zapomocą przypór dębowych; grubość dolnej części skrzynki mieczowej 16,
górnej części skrzynki mieczowej 14.

16. Bocznice masztowe z dębu zmontowane z kilsonem lub z wręgami. Grubość najmniej 20.

17. Podłoga sosna, świerk lub gabun. Grubości najmniej 10.

18. Listwa ochronna na burcie półokrągła jesionowa lub dębowa o przekroju 20 × 10.

19. Miecz z blachy żelaznej, opuszczany, obracający się na osi zabezpieczony na szyjce przytyczką, ograniczającą opuszczanie, przystosowany do podnoszenia ponad dolną krawędź kilu. Grubość blachy miecza najmniej 3.

W stanie opuszczonym może wystawać pod kilem najwyżej wysokość 900.

20. Ster z pletwą z blachy żelazne podnoszoną do dolnej krawędzi kila. Grubość blachy pletwy najmniej 4.

21. Maszt kładziony.

22. Części metalowe (miecz, ster, wsporniki i t. p.) powinny być zebezpieczone od rdzewienia.

23. Żagle 10 m² (na wiatr) mierzone wg. przepisów P. Z. Ż.

24. Inwentarz: 1 wiosło pychowe, 2 łopatki, 1 latarnia 360°, 1 cuma, 1 czerpak, 1 kotwica, 2 odbijacze.

Sekretarz: Prezes P. Z. Ż.

J. Lisicki *Gen M. Zaruski*



Polski Związek Kajakowy
Zarząd Główny
Warszawa, Myśliwiecka 3

Komunikat Nr. 8.

I. Uzupełnienie i wyjaśnienie regulaminu odznaki turystycznej P. Z. K.:

W związku z zapytaniami przez poszczególne kluby komisja turystyczna PZK. podaje poniżej uzupełnienia i wyjaśnienia następujące:

Do § 10. po słowach: jest podstawą dla oceny wycieczek.

Przebytą drogę oblicza się kilometrami obrachunkowemi według następującej zasady:

a) przebytą drogę z prądem oblicza się według faktycznej liczby kilometrów na podstawie urzędowych danych Dyr. Dróg Wodnych, map wydanych przez W. I. G. 1 : 100000, oraz „szlaków wodnych" Heinricha.

b) przy jeździe na wodzie stojącej dolicza się 50%.

c) przy jeździe pod prąd 150%.

W wypadkach, gdy obliczenie punktacji da w wyniku cyfrę ułamkową, to i ta będzie brana pod uwagę. Np. Sucha Rzeczka 1 km. pod prąd = 1 km. = 150% = 1.5 km., 1 km. spowrotem + 1 km. = 3.5 km.

W razie stwierdzenia niezgodności między kilometrażem podanym w szlakach wodnych Heinricha, a rzeczywistą długością, rozstrzyga mapa.

Przy weryfikacji wycieczek bierze się pod uwagę wszystkie wycieczki dokonane w ciągu roku bieżącego.

Ze względu na spóźniony termin ogłoszenia reg. odzn. tur. termin składania dzienników wycieczek na wniosek Komisji Turystycznej PZK. przesuwa się na dzień 15 grudnia b. r.

II. Przyjęcie nowych członków: Na posiedzeniu Z. G. PZK. w dniu 19.X. b. r. przyjęta została w poczet członków PZK. Sekcja Kajakowa Touring-Klubu Warszawa.

III. Niewykonywanie terminowych poleceń Zarządu Głównego przez kluby:

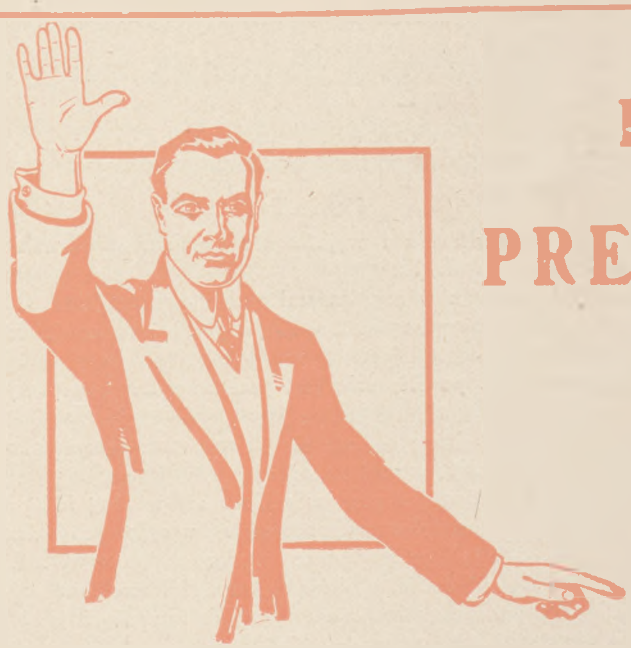
1) w sierpniu b. r. Komisja Turystyczna wysłała wszystkim klubom bezpośrednio po 15 egz. regulaminu odznaki turystycznej i tyleż dzienników wycieczek, celem rozsprzedaży wśród swoich członków (patrz komunikat PZK. Nr. 6. pkt. 2). Do dnia dzisiejszego zaledwie 3 kluby wpłaciły należne kwoty z rozsprzedaży.

2) komunikatem Nr. 7. pkt. 2. polecił Z. G. nadesłanie w terminie do 10.X. b. r. imiennych wykazów członków posiadających legitymacje PZK. z podaniem ich numerów. Do dnia dzisiejszego zaledwie 5 klubów wypełniło to polecenie, mimo wyraźnego wskazania w komunikacie ważności sprawy (biletów turystycznych)

Powyższe ignorowanie zarządzeń Z. G. uniemożliwia pracę organizacyjno-administracyjną Związku i Z. G. apeluje do klubów, które nie wykonały dotychczas powyższych zarządzeń do załatwienia zaległych obowiązków ustalając ostateczny termin na dzień 20.XI. b. r.

Sekretarz Z. G. PZK.: Prezes Z. G. P. Z. K.:

Malinowski Stan *T. Zieleniewski, płk. dypl.*



P. T.

PRENUMERATORZY

UWAGA

ZNIŻKA PRENUMERATY

Opłacający prenumeratę

na 1935 r.

w grudniu 1934 r. za cały rok naprzód

otrzymują 10% zniżki

to jest zamiast Zł. 20.— płacą tylko

Zł. 18.—

Konto Sportu Wodnego w P. K. O. Nr. 6013

Ceny ogłoszeń: 1 strona zł. 300, ½ strony zł. 155, ¼ str. 80, ⅛ strony zł. 45, w tekście o 50% drożej.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI, WARSZAWA, BRONISŁAWA PIERACKIEGO 15 — TEL. 670-56.
Prenumerata „Sportu Wodnego" wynosi półrocznie Zł. 10, rocznie Zł. 20.
Rękopisów nie zamówionych nie zwraca się. Ogłoszenia i prenumerata zagr. 50% drożej. Konto w P. K. O. Nr. 6013
Wydawca „WAW" Warszawska Agencja Wydawnicza S-ka z o. odp. *Redaktor MIECZYSŁAW MAJCHER*

Drukarnia W. Merkel, A. Kowalewski i S-ka, Warszawa, Chłodna 37 tel. 669-46.